NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, UL. ZIELONA 7.
Nr. TELEFONU 479.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

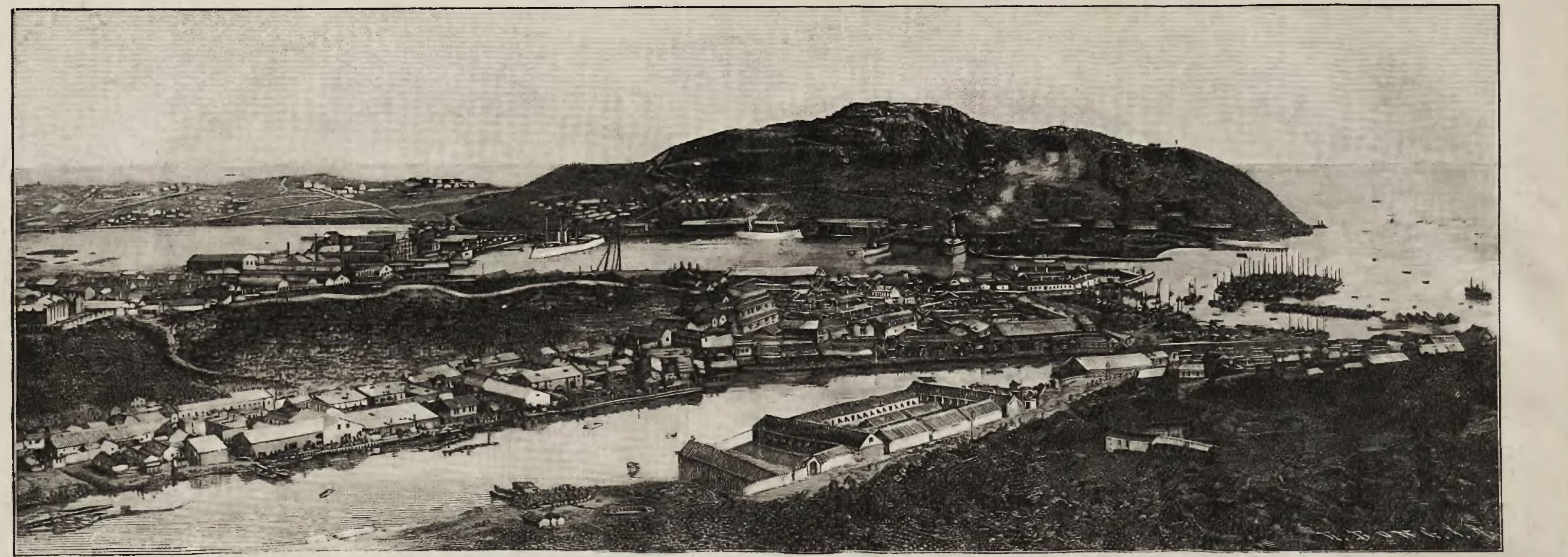
Rok II. Kraków, 7 stycznia 1905 r. Nr. 2.

Zamach na pomnik cara w Częstochowie.



(Do artykułu na str. 2).

Numer ten zawiera 24 stronic druku!



Upadek Portu Artura: Widok ogólny przystani i fortyfikacyi zdobytego przez Japończyków Portu Artura.

Zamach na pomnik cara w Częstochowie.

(Do illustracyi tytułowej.)

Ruch rewolucyjny — wywołany uciskiem i wojną wschodnią – wzmaga się z dnia na dzień w Rosyi. Wszystkie główniejsze miasta, nie wyłączając i polskich, były kolejno, niektóre nawet równocześnie, widownią demonstracyj i krwawych zajść. Petersburg, Moskwa, Astrachan, Kazań — z polskich zaś Warszawa, Sosnowice, Łódź a ostatnio i Częstochowa złożyły caratowi przymusową dań krwi. Krew hojnie popłynęła u demonstrantów, nie powstrzyma ona jednak, ani zażegna pożogi rewolucyjnej.

Częstochowa, to przybytek drogi sercu każdego Polaka wraz z swym kościołem jasnogórskim i świętym obrazem N. P. Maryi. Na te świętości nie śmiał nawet brutalny moskal podnieść świętokradzkiej swej ręki: szanował on te miejsca na swój sposób: szanował, bo bał się podrażnić ślepej wiary i fanatyzmu Polaków. Dzięki temu i skarbiec klasztorny pozostał nietknięty i stróże tych świętości O.O. Paulini mogą spokojnie pełnić służbę Bożą — i przyjmować nowych alumnów do nowicyatu, podczas gdy inne klasztory katolickie w Królestwie są jak wiadomo skazane na wymarcie. To znaczy, że rząd zabronił — kongregacyom przyjmowania wychowanków do nowicyatu — i czeka, rychło li wymrą starzy zakonnicy, by klasztor i kościół ich zamknąć raz na zawsze.

Nie mogąc jednak wprost uczynić zamachu na całość świętości i byt zakonników jasnogórskich, postanowił rząd w inny sposób dokuczać i znieważać najświętsze uczucia katolików.

I oto na stokach świętej góry – stanął jak na urągowisko pomnik prawosławnego cara-satrapy! Bezpieczne wybrano mu miejsce. Cała Jasna Góra i najbliższa okolica klasztoru jest przedmiotem gorącej czci i miłości ludu polskiego: pomnik, stojący na tem terytoryum, zdobył sobie zatem niejako prawo nietykalności i przetrwał nienaruszony pełnych lat 20.

Tak było aż do dnia Bożego Narodzenia z. r.

W uroczystym tym dniu rozległ się nagle przeraźliwy huk w okolicy klasztoru i wywabił strwożonych o los świątyni mieszkańców na ulicę. W jednej chwili — jakby z pod ziemi wyrosła, znalazła się policya, żandarmerya i wojsko. Żołdacy otoczyli natychmiast szpalerem pomnik i usunęli publiczność daleko poza teren katastrofy.

Skonstatowano, że pomnik został potężnie uszkodzony — kupa gruzów i detonacya, dająca się podczas wybuchu słyszeć — stwierdziły niewątpliwie, że wykonany został na pomnik zamach dynamitowy.

Zamachu dokonano w jednej chwili, gdy żołnierz spacerujący na warcie odwrócił się. Sprawca umknął a uwięziony sołdat klnie się na Boga, że nikogo zbliżającego się ani uciekającego nie widział... tem mu gorzej, albowiem żołnierz stojący na warcie jest odpowiedzialny za całość powierzonego jego pieczy budynku lub przedmiotu.

Bomba, rzucona przez nieznanego sprawcę, nie uszkodziła ani pomnika, ani cokołu, zniszczone są natomiast schodki i potrzaskane kamienie fundamentów — przedstawiające obecnie bezładną kupę gruzów. Rycina nasza przedstawia chwilę zamachu na pomnik cara Aleksandra II.



Upadek Portu Artura: Jenerał Stoessel niefortunny obrońca oblężonej twierdzy.

Upadek Portu Artura.

Przełomowy moment w obecnej wojnie rosyjsko-japońskiej, a zarazem zwrotny punkt dziejowy — nastąpił nareszcie.

Port Artura — upadł!

Depesze agencyi przyniosły światu tę oczekiwaną i spodziewaną od dawna wiadomość, a urzędowe komunikaty potwierdziły w całej osnowie te prywatne doniesienia.

Strata tej morskiej i lądowej zarazem twierdzy jest dla Rosyi ciosem zabójczym, niepowetowaną szkodą, którą naprawić będzie w obecnych stosunkach dla Rosyi niepodobieństwem. Port Artura położeniem swojem naturalnem i niezwykle silnem ufortyfikowaniem, jest niejako kluczem do wschodnio-azyatyckich wód — dla Europy. To też dopóki był w ręku rosyjskim — wyniku wojny obecnej nie można było przesądzać, mimo niezaprzeczonej wyższości taktyki i broni japońskiej. Dziś ze stratą tej twierdzy, straciła Rosya znakomity punkt oparcia dla wojennych operacyi — straciła go na korzyść Japoniii, która przewagi obecnej nie omieszka wyzyskać.



Upadek Portu Artura: Jenerał Noghi, zwycięski wódz oblężniczej armii japońskiej.

Zważmy ponadto, że spiesząca na odsiecz portowi pod wodzą Rożdestwieńskiego bałtycka flota — z upadkiem twierdzy, straciła poprostu cel swej podróży. Odsiecz spóźniona, a flota rosyjska — jeżeli przedewszystkiem nie zostanie odwołana i szczęśliwie dotrze na Żółte Wody – nie będzie miała punktu oparcia, niezbędnego dla każdej floty. Rosya nie posiada ani jednego portu, ani jednej przystani sposobnej do użytku wojennego. Jedyny jej port — w posiadłościach azyatyckich — port władywostocki, w obecnej porze jest zamarznięty, niepodobieństwem jest więc zawinąć tam lub przezimować. Flota bałtycka nie będzie zatem mogła urządzić sobie postoju, niezbędnego dla odpoczynku lub naprawy statków — nie będzie nawet miała możności zaopatrzenia się w węgiel, wodę i żywność.

Rozpaczliwe jest obecne polityczne położenie Rosyi, beznadziejne zaś wysiłki w obecnej wojnie. Wielki dramat dziejowy rozegrał się już prawie. Bohaterstwo setek tysięcy ludzi nie przyniosło żadnych owoców, żadnych skutków, prócz poczucia bezmyślności rządu rosyjskiego i jawnej rewolucyi ludów, zamieszkujących niezmierzone obszary imperyum caratu.

Sprawiedliwość przyznać każe, że bohaterski obrońca Portu Artura, zasłużył sobie sławną obroną twierdzy na uznanie i podziw. Zrozumiał to i humanitarny władca Japonii i jenerałowi Nogi, dowodzącemu oblężniczą armią, polecił wyrazić swoje najwyższe uznanie dla bohatera — i jemu, jak również całej armii nieprzyjacielskiej, zapewnić swobodne wyjście z oblężonych murów i oddanie wszystkich honorów wojskowych.

Wątpliwą jest rzeczą, czy to zaszczytne zresztą uznanie dla wyjątkowo w Rosyi uzdolnionego i odważnego wodza — powetuje choćby w części klęskę „północnemu kolosowi“...

Rządowe marki pocztowe z wyobrażeniem zamordowanego króla.

Znane są wszystkim owe dowcipne rysuneczki, na które patrząc nikt się nie domyśli, że na samym obrazku kryje się jeszcze i drugi. Należy tylko rysunek obrócić i pilnie wpatrzyć się w linie — a spostrzeżemy wnet, z obecnego kąta widzenia, nową jakąś postać lub scenę. Ten „żart rysunkowy“ znany jest u niemców i nazwany technicznie „Wexirbild“.

Niktby nie przypuścił, że niewinny ten żarcik da pohop słynnemu rysownikowi serbskiemu do wyrażenia gorzkiej ironii — skierowanej wprost pod adresem tronu.

Niejaki Jovanovits, jeden z najzdolniejszych artystów-rysowników w państwie Milana, zaszczycony został przez króla Piotra zleceniem wykonania projektu do marek pocztowych. Marki pomysłu artysty wyobrażały dwie głowy, profilem zachodzące na siebie: protoplastę domu panującego Jerzego Czarnego i obecnego króla Piotra.

Rysunek i kompozycya zyskały aprobatę dworu,



Nowy premier ministrów w Hiszpanii: Marcello de Azcaragga y Palmoro.

artystę hojnie wynagrodzono i — marki poszły w obieg.

Cóż się jednak pokazało? Tasama marka, gloryfikująca rodzinę Karadżordżewiczów, odwrócona „do góry nogami“, przedstawia pośmiertną maskę w okrutny sposób zamordowanego króla Aleksandra. Rząd serbski zapóźno się spostrzegł i obecnie na gwałt ściąga i kasuje kompromitujące marki. Nie mógł jednak temu zapobiedz, by konfiskowane obecnie znaczki pocztowe nie dostały się do rąk amatorów i zawodowych zbieraczy marek pocztowych. Podobno w tym tragi-komicznym figlu pocztowym ma mieć udział matka zabitego króla — Natalia.

Podajemy Czytelnikom w wiernej odbitce taką „markę“, której oryginał na wieczną pamiątkę zachowaliśmy w naszem archiwum redakcyjnem.

Krwawe gody żandarma z żydówką.

O ile miłość prawa i uczciwa jest uczuciem uszlachetniającem i wznosi człowieka na wyżyny duchowe — o tyle uczucie to samo, przerodzone w ślepą, zwierzęcą namiętność, strącić go jest zdolne w otchłań zbrodni i nicestwa. Stara to jak świat historya, którą ustawicznie przypominają i stwierdzają smutne przykłady.

Niedawno rozegrał się krwawy dramat miłosny we wsi Żurawicy, odległej o 4 km. od Przemyśla. W Żurawicy żył stary żyd, ortodoksa, trudniący się wyszynkiem propinacyjnym, niejaki Dawid Felsen. Felsen miał prześliczną 17 letnią córkę, imieniem Fani, której uroda słynęła daleko, nawet po za granicami wioski. Nieszczęście chciało, że w tej samej wsi był stacyonowany jako komendant żandarmskiego posterunku (*Postenführer*), również młody i przystojny żołnierz, katolik, Wójcik. Młodzi ludzie poznali się i pokochali i mimo zrozumiałej zresztą dobrze niechęci starego karczmarza — widywali często.

Tak rzeczy stały aż do pewnego dnia, w którym Jakób Felsen musiał w interesach swoich wyjechać do sąsiedniego Przemyśla i zostawił za ladą szynkowną piękną córeczkę Fani.

Stary wrócił wieczorem i ku swemu oburzeniu, zastał córkę w objęciach żandarma. Prawowiernego żyda oburzyła lekkomyślność dziewczyny — popuścił więc wodze swojemu gniewowi i wymowie, nie szczędząc zasłużonych, a dosadnych słów lekkomyślnej dziewczynie i jej uwodzicielowi. Wójcik nie pozostał mu dłużnym odpowiedzi, a za chwilę wybiegł z karczmy. Za małą chwilę powrócił jednak uzbrojony karabinem służbowym i — stanąwszy w drzwiach karczmy — zmierzył lufę w pierś struchlałego żyda. Padł zabójczy strzał i karczmarz, zatoczywszy się, runął z jękiem na ziemię. Córka krzyknęła przeraźliwie i wybiegła na dwór, wołając o pomoc. Żandarm popędził za nią, ale, potknąwszy się na progu upadł i złamał drewnianą osadę karabinu. Pomimo to podniósł się, dogonił żydówkę i bagnetem zranił ją w rękę. Wreszcie dał spokój ściganiu ukochanej — wrócił do posterunku i karabinem któregoś z kolegów sam pozbawił się życia.

Badania nie na wiele się zdadzą, ofiara i morderca już nie żyją, żyje jedynie moralna sprawczyni tej krwawej tragedyi — piękna Fani, która na usprawiedliwienie swoje wobec sumienia własnego i Boga, jedno będzie mogła przytoczyć: zaślepienie młodego serca i lekceważenie przestróg ojcowskich.

Zabójca Wójcik liczył lat 32, zamordowany Felzen lat 68.

Nowy premier ministrów w Hiszpanii.

Hiszpania — pierwszorzędne w wiekach średnich za Filipów mocarstwo, kraina, w której „słońce nie zachodziło“ — ta sama Hiszpania spadła dziś do poziomu podrzędnych monarchii. Gabinety w Hiszpanii zmieniają się ciągle, a od każdego spodziewa się naród wielkich zmian w systemie rządzenia, a głównie „opodatkowania“, która to kwestya jest główną bolączką współczesnej Hiszpanii.

I obecnie zaszła taka zmiana. Powołany na kierownika gabinetu sędziwy Marcello de Azcarraga y Palmero, którego portret w niniejszym numerze podajemy, należy do zdecydowanych konserwatystów. Urodził się w roku 1832 w mieście Manilli, na wyspie Luzon (Filipiny). Wyższe studya wojskowe kończył w Madrycie, walczył na Kubie w r. 1862 przeciw Meksykowi, w r. 1873 pod Kartageną był szefem generalnego sztabu, a w r. 1874 brał czynny udział w restauracyi Burbonów. Poza tem wszystkiem uczestniczył w życiu publicznem, był posłem do Cortezów, mianowany został dożywotnim senatorem, a w r. 1900 prezydentem senatu. Prócz tego był już poprzednio 2 razy premierem ministrów. Snać musiał młodociany król hiszpański uznać i ocenić zasługi sędziwego męża stanu, skoro go po raz trzeci wzywa do kierownictwa skołatanej nawy państwowej.



Rządowe marki serbskie z wyobrażeniem zamordowanego króla: Marka pocztowa wykonana przez artystę Jovanovicza.

Wolnomyślny minister w Rosyi.

Lud — jest podstawą narodu i każdy rząd, każdy tron, który na tych silnych, niezawodnych podstawach się oprze, może liczyć na trwałość swego istnienia. Inaczej się jednak dzieje w organizacyach państwowych, gdzie z pogwałceniem zdrowego rozsądku i praw przyrodzonych — burzą te podstawy. Każda akcya wywołuje reakcyę — jest to odwieczne prawo fizyczne, które i w moralnem znaczeniu ma swoje zastosowanie. Zaczęło się wrzenie w olbrzymiem imperium — wybuchające tu i ówdzie wprost płomieniem buntu... Ludzi, stojących u steru, a nie oddanych niewolniczo jarzmu samodzierstwa, zastraszyły te objawy...



Wolnomyślny minister rosyjski: Sergiusz Juliewicz Witte.

Zdawało się już, że zawiał jakiś lepszy duch z wyżyn tronu, że upragniona zorza wolności konstytucyjnej — rozświeci ciemności autokratyzmu. Nadzieje te rozwiały ostatnie enuncyacye cara: „Rosya nie dorosła jeszcze do konstytucyi“...

Jednym z tych, którzy, aczkolwiek nieśmiało, lecz z rozumnymi projektami w tym kierunku wystąpili — jest minister rosyjski Sergiusz Juliewicz Witte. Witte zrozumiał, że reformy społecznego ustroju należy od jego podwalin, od ludu rozpoczynać. Znamiennym i najważniejszym ustępem w „notatkach“ ministra, które są niejako komentarzem manifestu carskiego, jest zwrot, zaznaczający dążność do zniesienia odrębności stanu włościańskiego wobec innych stanów (t. zn. wobec mieszczaństwa i szlachty). Nie jest to wiele; słusznie odzywają się z ironią o owych projektach wolnomyślne dzienniki rosyjskie, żądając bezzwłocznego i zupełnego usamowolnienia chłopa, a w ślad za tem nadania szerokich konstytucyjnych swobód.

Na każdy sposób „Notatki“ Wittego, choćby nie miały praktycznego znaczenia, będą cennym dokumentem historycznym, że i w najwyższych rządzących sferach powoli zyskuje uznanie idea demokratyczna.



Krwawe gody żandarma z żydówką: Żandarm Wójcik wystrzałem z karabinu zabija karczmarza Dawida Felsena.



POWIEŚĆ.

14 (Ciąg dalszy).

Chwycił Piotrunia za rękę i ciągnie go za sobą w stronę miasta.

W parę minut potem kareta, unosząca Marcelinę i Kazimierza, mija ich jeszcze przed rogatką i znika w mroku wieczornym.

Chłopcy rozstrojeni, smutni, znużeni straszliwie, zatrzymując się kiedy niekiedy, żeby chwilkę odpocząć, o dziewiątej dopiero stają przed „budą“ na Czystem. Na progu czeka ich z utęsknieniem Graziella, nie bacząc na to, że silny wiatr, który nagle się zerwał, zasypuje ją tumanami drobnych kryształków zmarzniętego śniegu.

— Tak późno! tak późno! — woła, całując Janka. — Co się stało z koszykiem? Czy sprzedałeś go razem z pomarańczami?

— Nic nie sprzedałem. Zapytaj Pietrunia, on ci wszystko opowie. Ja nie jestem w stanie. Oddychał ciężko, wchodząc do izby.

— Nic nie sprzedałeś i nie przynosisz pieniędzy, a Złota Rączka i Czupiradło lada moment nadejdą! O, mój Boże! co się tu dziać będzie, co się dziać będzie!

— Zabiją mnie. No, to i cóż? Wolę nie żyć!... Miałem kółko rodzinne, które mnie kochało... które się mną opiekowało. Utraciłem je... utraciłem na zawsze... Chciałbym umrzeć!

Stali przy piecu, w którym paliło się nieco węgla kamiennego. Na dworze bujała silna zawieja. Wicher, który zdawało się, że wstrząsa całą ruderą, wył w kominie przeraźliwie, napełniając serca dzieci wielką trwogą. Twarzyczka Grazielli, oświetlona odblaskami dogorywającego ognia, wyrażała głęboki smutek. Dziewczynka myślała w duchu: „Jak wrócą, zabiją go... zabiją!

Pietrek odgadł, co się dzieje w serduszku Rózi.

— Słuchaj! — powiedział. — Dziewiąta tylko co wybiła. Mam więc dosyć czasu, żeby dobiedz i wrócić z Marceliną, zanim Czupiradło i Złota Rączka przywleką się do budy. Koszyk pozostał na ławce... dobrze to pamiętam. Duchem skoczę i przyniosę. Tacyśmy oba byli zmaltretowani, że sam sobie się dziwię, iż nie zapomniałem i o desce z figurkami!

W paru słowach opowiedział mniej więcej co zaszło.

— Poświęcasz się dla mnie! — zawołał Kwiat Nędzy. Nie dam ci lecieć samemu. Pójdę z tobą!

Cały dzień nic nie jadłeś, mój stary. Chory jesteś, ledwie się na nogach trzymasz... Pozostań! Zobaczysz jak się gracko uwinę.

To mówiąc, wybiegł z budy i jak strzała puścił się najkrótszą drogą w stronę Belwederskich rogatek.

O wpół do dwunastej powrócił zziajany, jak mysz spocony pomimo przejmującego zimna... lecz z koszykiem w ręku.

— Czy nie wrócili? — krzyknął, spostrzegłszy we drzwiach Graziellę.

— Dzięki Bogu, jeszcze nie. Kwiat-Nędzy wlazł na facyatkę, żeby się położyć. Gorączka go trawi, ale mam nadzieję, że jak cię zobaczy i dowie się, że przyniosłeś kosz z pomarańczami, wnet mu się zrobi lepiej.

— Chodźmy i my na górkę!

Janek nie spał. Twarz jego, prawie fioletowa, oczy zapadłe, obwiedzione czarnemi kręgami, rysy zmienione i ciągłe dreszcze w całem ciele, świadczyły o gwałtownej febrze, poprzedzającej bardzo często u biednych, źle odżywianych dzieci ciężką chorobę.

— Pociesz się — zawołał Pietruś, chwytając rozpalone ręce towarzysza w swoje zmarznięte dłonie — kosz jest. Czupiradło i Złota Rączka nie mają cię za co obić. Zresztą bądź spokojny, gdyby się ośmielili, ja i Graziella obronimy. Jestem silny... Czuje się prawie mężczyzną. Chciałbym, powiadam ci szczerze, w jakiś uczciwy sposób zarabiać na kawałek chleba. Od czasu, jak cię poznałem i codziennie rozmawiam z tobą, brzydzę się życiem, które tu prowadzę!

— O, wiem, żeś zacności chłopiec! Masz odwagę i męstwo... mnie zaś braknie sił do walczenia z losem. Pragnąłbym wstąpić do jakiej fabryki na robotnika, żeby ręki na ulicy nie wyciągać, bo przecież rozumiesz, że to, co robimy na mieście, to żebranina. Nie jesteśmy handlarzami, lecz żebrakami, którym kiedy niekiedy ktoś rzuca z łaski parę miedziaków przez litość, albo, żeby się odczepić od natrętów.

— Nie przeczę, bądźmy jednak jeszcze czas jakiś cierpliwi. Zobaczysz! wyzwolimy się obaj z pod jarzma i pójdziemy szukać pracy.

— Czy pozostawimy tu Graziellę na łasce niegodziwych ludzi? — jęknął Kwiat-Nędzy smutnie. Przecież my jej opuścić nie możemy,

— Wiem, że mnie kochasz, jak siostrę — rzekła Rózia niemal wesoło — a widzę także, że Piotruś mnie już nie kocha tak, jak dawniej. Jak tylko znajdzie jakie zajęcie, gotów mnie porzucić. Co prawda dobrze nam tu nie jest, lecz miłując się, jak się miłujemy, można znieść od biedy wiele przykrości.

— Nie! zawsze tu nie pozostanę za nic w świecie — powiedział Marco Spada, z dziwną, jak na niego powagą. Mam już dosyć sprzedawania figurek! Przytem matka mi jest wstrętna; nienawidzę jej z całej duszy. Nie marszcz brwi, siostrzyczko! uczucie to silniejsze odemnie. Gdyby nie ty, gdyby nie twój uśmiech, budzący w sercu radość i nadzieję, dawno już drapnąłbym z tej nory.

— Zatem pozostajesz tu tylko dla mnie? — zapytała Graziella.

— Dla ciebie... i dla Janka.

Rozmowa się urwała. W niskiej izdebce zaległo milczenie, Wszyscy troje, przy świetle — które uliczna latarnia gazowa rzucała przez zamarznięte szyby — patrzyli na siebie ze wzruszeniem.

Kwiat-Nędzy, gorączkujący coraz silniej, zaczął drzemać, rzucając jednak od czasu do czasu pełne miłości spojrzenie, to na Pietrka, to na Graziellę, której fiołkowe oczy i złote włosy wyryły się w jego sercu niezatartym obrazem. Chociaż milczeli, rozumieli jednak, jak wielka rozpacz szarpie ich duszami. Myśl zaś, że Czupiradło i Złota Rączka wkrótce nadejdą, przejmowała ich obawą i drżeniem.

— Nie sposób położyć się spać, kiedykolwiek, bez niepokoju i lęku — mruknął Piotruś. Podobni jesteśmy do gołębi, pozbawionych schronienia, a nad którymi krąży jastrząb w powietrzu.

Północ minęła; po niej pierwsza i druga godzina. Dzieci siedziały ciągle same — oczekujące. Nareszcie jakiś oddalony zegar wieżowy wydzwonił trzecią. W uliczce rozległ się odgłos ciężkich, a niepewnych kroków.

Graziella otworzyła szybę w oknie i wyjrzała.

— To oni! Wracają oboje... Pijani.

Dreszcz przebiegł po skórze Pietrusia i Janka. Drzwi od ulicy, pchnięte silnem uderzeniem pięści, rozwarły się na oścież. Godna para weszła zataczając się do izby i zwaliła się na stojące najbliżej progu dwa krzesełka.

Graziella zbiegła na dół z małą lampką w ręku. Czupiradło już chrapał.

— No jesteś przecie! — wybełkotała ochrypłym głosem Złota-Rączka. Panna pozwoliła ogniowi wygasnąć... Człowiek przychodzi do domu, żeby się zagrzać trochę... a tu figa... ognia ani odrobiny...

— Czekałam na was cały wieczór.

— Pyszna racya! Trzeba było czekać dalej i węglem piec nabijać, żeby było ciepło. Ale, ale... gdzie mikrusy?

— Położyli się spać o północy.

— A za ile towaru sprzedali?

— Co mieli sprzedać na taki czas okropny! Kto na mrozie i wietrze kupuje figurki i pomarańcze?!

— Ten, co ich nie sprzeda, musi na wieczerzę żreć kamienie i ssać palce.

— Zjedli po kawałku suchego chleba i wodą popili. To była cała ich kolacya. Wiadomo wam przecie, że Piotruś nigdy nie narzeka, choć głodny spać się kładzie.

— To może tamten drugi próżniak się żalił?... Pójdę ja go pożałować!

— Zostawcie biednego chłopca w spokoju i nie udręczajcie dzisiaj. Ma febrę... powrócił chory...

— Choroba jego nic mnie nie obchodzi. Niech, psiakrew, raz zdechnie!

Graziella spojrzała na matkę oczami pełnemi oburzenia.

— Jesteście pijani... Wstyd mi za was! — rzekła.

— Człowiek pić musi, gdy mu pragnienie doskwierzy... To rzecz wiadoma! A ty mi swoim wstydem kontramarki nie zawracaj, jak mawiał mój dyrektor... i bacz, żeby się tobie co nie oberwało z reszty. We łbie ci się kiełbasi, udajesz tu panią i mieszasz się do tego, co do ciebie nie należy. Już mi to dojadło!... Gdyby nie ty, napędziłabym stąd Kwiatka już oddawna. Kosztuje nas to szkaradne szczenie, a dochodu nie daje... Taka pokraka, to ino odstrasza ludzi!... Całe Czyste naśmiewa się z nas i z niego. Andrusy poukładały o nim przeróżne śmieszne śpiewki. Gdzie się obrócim, drażnią niemi mnie i mego chłopa... Bebechy przewracają się w żywocie, gdy pomyślę, że to wszystko przez ciebie!

Złota Rączka wyjęła z kieszeni flaszeczkę z rumem i rozprawiając zakrapiała się z niej co chwilę.

— Więc... więc... ten twój kwiatuszek Nędzy... ten pudel zatracony, wrócił do dom z pustemi łapami?... hę, co? — rzekła baba, usiłując podnieść się z krzesełka.

— Powiedziałam już raz, że w śnieg i na wietrze nikt pomarańcz nie kupuje. I Pietrek także nic nie sprzedał.

— Jemu wolno!... Może sobie czasem pofolgować.

— A! — szepnęła Graziella zdziwiona.

— Pietrek ma takie psie prawo, bo do familii należy!... A Kwiat do familii nie należy, więc musi pracować. To też pójdę mu strzepać skórę, żeby to sobie raz na zawsze popamiętał!

Pomimo, że ją Rózia zatrzymuje i pragnie uspokoić, Złota Rączka, zataczając się i potykając, pędzi ku schodom, prowadzącym na facyatkę. Odepchnęła Graziellę i staje przed siennikiem, na którym Kwiat Nędzy trzęsie się w febrze. Chłopak czuje się jakby przygwożdżonym do brudnej pościeli. Milczy — lecz wzrok jego, pełen przerażenia, błaga sekutnicę o litość.

Piotruś, gdy ją spostrzegł, sięgnął do kieszeni, wyciągnął i otworzył kozik, a ściskając go w drżących rękach, szepcze:

— Borykać się z wami nie będę, bobyście mnie zmogli, lecz pamiętajcie sobie... jeśli choć jeden włosek spadnie Jankowi z głowy... wpakuje wam to żelazo w gardło!

Wyraz twarzy malca był tak groźny, w spojrzeniu jego maluje się tak silne postanowienie, że pijaczka cofa się przerażona.

— Jutro... za dnia, porachujemy się z sobą! — woła wściekła. Zobaczysz wtedy, które z nas dwojga będzie górą!

— Jeśli się już wam na nic nie zdamy, to pójdziem sobie precz z budy. Człowiek i bez waszej pomocy na życie zarobi!

Wyczerpany jednak wysiłkiem woli i miotającem w nim wzburzeniem, upada na kolana przy sienniku chorego towarzysza, zalewając się gorzkiemi łzami.

XV.

— Jak ci się „wenta“ powiodła? – zapytał Piotr Molski córki, powróciwszy wieczorem ze sądu do domu.

– Dzięki hrabinie Jelskiej, przyniosła około piętnastu tysięcy rubli.

– Czy być może?! Ależ to dochód nadzwyczajny! Będziesz mieć czem obdzielać bardzo wielu biednych. Dziwnem mi się jednak wydaje, że ta pani ośmieliła się przestąpić próg naszego domu.

– Och! ta pani do wszystkiego jest zdolną!... Bądź jednak pewny, ojczulku, że tu już nigdy więcej nie wróci.

— Skądże to mniemanie?

— Hrabina mnie się lęka.

— Dla czego?

— Domyśla się bowiem, że ją podejrzewam o uduszenie męża.

– Masz tobie! Znowu wywlekasz na stół dawne urojenia! Pamiętaj sobie jednak, że mówiąc to, oskarżasz poniekąd swego brata i rzucasz plamę na nasze uczciwe nazwisko. Zastanów się dobrze, moja Geniu i nie szafuj lekkomyślnie wyrazami, mogącymi nas wszystkich mocno skompromitować.

– Nasze nazwisko — rzekła Eugenia, przesuwając ręką po zasępionem czole. Bądź pewny, że równie jak ty dbam o nasz honor... lecz jeśli Kazio stał się wspólnikiem tej kobiety... nie wiem, czy nie poświęciłabym nawet naszego nazwiska dla zrehabilitowania nieszczęśliwego człowieka, cierpiącego niewinnie.

Sędzia nie chciał córki słuchać dłużej. Zakłopotany i chmurny udał się do swojej pracowni. Czuł się niewymownie wzruszony. Słowa Eugenii przejęły go znowu niepokojem i lękiem. Część nocy spędził na przypominaniu sobie wszystkich szczegółów sprawy Marcina Żarskiego. Badał je w myśli z niezwykłą surowością krytyczną -- i w końcu przyszedł znowu do przekonania, że wina biednego lekarza jest niewątpliwą. Poczem, już zupełnie spokojny, spać się położył, zdecydowany nie pozwalać córce na podnoszenie jakichkolwiek bądź uwag w tym względzie.

Równocześnie niemal i Eugenia postanowiła raz na zawsze nie poruszać w obecności ojca tak drażliwego dlań przedmiotu.

Nazajutrz rano, wstała wcześnie i pieszo wyszła z domu. Mróz był silny — lecz dzień pogodny, słoneczny. Przebiegła, żwawo przestrzeń, rozdzielającą Długą od Ordynackiej i lekka, jak ptaszek, przesunęła się przez trzypiętrowe schody domu, w którym mieszkała Franciszka Bogajewska. Zaledwie znalazła się w skromnym pokoiku przyjaciółki, witającej ją serdecznym uściskiem, zapytała natychmiast:

– Czy otrzymałaś mój list?

– A jakże, wczoraj jeszcze.

– I cóż?

– Udałam się zaraz do wskazanego mi przez ciebie domu, lecz, niestety, rodzina Żarskich dawno się już z niego wyprowadziła.

— O, mój Boże!

— Spełniłam twoje polecenie, jak najspieszniej, zwłaszcza, że plan twój sprawił mi wielką radość, bo pomyślałam sobie, że i ja wezmę jedną z córeczek doktora do siebie i uczyć ją będę mego rzemiosła. Nie umiera z głodu, kto chce i umie pracować! Marzyłam o wielkiej rozkoszy, jaką mi sprawi wychowywanie biednej sieroty...

— Ale co dalej? co dalej?

— Pobiegłam więc, jak powiedziałam, na Chmielną i chociaż już się ściemniało, łatwo znalazłam dom, który mi doskonale opisałaś. Na bramie wisiała karta z napisem: „Mieszkanie do wynajęcia“. Zaniepokoiło mnie to, więc udałam się do stróżki. Odpowiedziała mi, że stara Żarska z wnuczkami wyniosła się przed miesiącem. Dodała, że byli to bardzo zacni ludzie. Z początku, jak wszyscy, i ona wierzyła w zbrodnię Marcina, lecz teraz, gdy przypomina sobie, jaki to był nieskazitelny człowiek, jak wiele robił dobrego w dzielnicy, lecząc biedaków i nędzarzy darmo, jak ciężko pracował, żeby zapewnić rodzinie utrzymanie... sądzi, że wyrok nań wydany jest poprostu pomyłką sądową.

— Och! nie masz pojęcia – rzekła Eugenia, ściskając ręce Franciszki – jak mi jest niemiłe to, co mówisz! Raduję się zmianą opinii o skazanym, bo słowa tej prostej kobiety są prawdopodobnie echem ogólniejszego mniemania. I ja wierzę w jego niewinność. Nie mogę przypuścić, aby człowiek, który siadywał przy mojem łóżku, gdy ciężko chorowałam i patrzył na mnie dobremi, promieniejącemi prawością oczami, był zbrodniarzem. Wiele lat od czasu, jak go poznałam upłynęło, a jednak wybornie pamiętam wzrok jego smutny i przejmujący mnie do głębi swym szlachetnym wyrazem. To też ile razy myślę o strasznej katastrofie, która go spotkała, czuję, że serce moje bije gwałtownie, a powieki napełniają się gorącemi łzami.

— Czy go kochałaś? – spytała Franciszka.

Eugenia przymknęła oczy i chwilkę milczała.

– Czy myślisz, że wówczas zdawałam sobie z tego sprawę? czy wiedziałam nawet, co to jest miłość? — rzekła wreszcie, przesuwając obie dłonie po pochylonem czole. Marcin Żarski był pierwszym



...jeśli choć jeden włosek spadnie Jankowi z głowy... wpakuję wam to żelazo w gardło!..

obcym mężczyzną, który pojawił się w naszem kółeczku rodzinnem. Ile razy stan mego zdrowia pozwalał na rozmowę, mówił ze mną o rzeczach poważnych, pięknych i wzniosłych, nie tak, jak inni młodzi ludzie, prawiący mi banalne komplementy, lub strojący niewczesne żarty, a z którymi kiedy niekiedy spotykałam się na wieczorkach u koleżanek. Ta jego powaga, dobroć i spokój zachwyciły mnie i podbiły.

– A potem?... a potem?

– Potem... wyleczył mnie i już go więcej nie ujrzałam. Kochał inną... i z nią się ożenił.

– Ta inna umarła.

– On zaś został skazany. Nosi shańbione nazwisko... Zgubiony na zawsze!

— Życie tak dziwnie się wije z tyłu smutków i boleści, że doświadczeń i cierpień nie braknie chyba nikomu, lecz ci biedni Żarscy są w rzeczy samej szczególnie dotknięci. Po wyroku na ojca i śmierci matki, jedno z dzieci przepadło gdzieś bez wieści, a babka z dwojgiem drugich, właśnie w chwili, gdy spieszysz z pomocą dla niej, znika z mieszkania. Nikt nie wie, co się z niemi dziś dzieje.

Eugenia, której lica powlekły się kredową bladością, chciała podnieść się z miejsca, lecz znowu usiadła.

— Więc nie masz pojęcia, gdzie obracać się może ślepa z dziewczątkami?

— Nic nie wiem... nie wiem.

Eugenia ukryła twarz w dłonie i łkać zaczęła głośno.

— Och, jakaś ty dobra! – rzekła Bogajewska. Stokroć lepszą jesteś odemnie.

— Nie mów tego. Nie jestem od ciebie lepszą, lecz, gdy pomyślę o życiu tułaczem, jakie w tak srogą zimę wieść muszą trzy nieszczęśliwe sieroty, opuszczone przez Boga i ludzi, pozbawione wszelkich środków utrzymania, serce mi pęka z boleści.

– Wierzaj mi, mam dla ciebie najgłębszą cześć za dobroć twoją. Wiem, że wydziedziczonym podawałaś zawsze siostrzane dłonie. Nie sypiesz jałmużną bezmyślną, jak inni bogacze, lecz raczej zwracasz to, co Bóg zapomniał im udzielić.

– Tak... bo wszystko, co mam i mieć mogę... nie moje, lecz boskie.

Obie zamilkły.

Bogajewska układała na stole robotę dzienną, za którą – względnie do pracy, jaką jej poświęcała – zarobek był bardzo mały. Lecz ona oddawna wyrzekła się wszelkiego zbytku, który niegdyś lubiła, gdy kochający mąż niczego jej nie żałował. O nim też, pracując od rana do wieczora, nieustannie myślała. Marząc o jego powrocie, oszczędzała dla niego na najskromniejszych wydatkach, odmawiając sobie najdrobniejszej nawet przyjemności i wygody. Na wiosnę jednak i w jesieni podążała zawsze na pola wyścigowe, przypuszczała bowiem, że może się z nim spotka, przy totalizatorze. Zimą zaś dowiadywała się od portyerów resursowych, czy przypadkiem nie przyjechał i nie zjawił się w salonach, w których grywano w karty.

Eugenia wiedziała o tem wszystkiem. Wiedziała także z jak licznego szeregu ofiar i poświęceń składa się to biedne życie, wypełnione jednem gorącem uczuciem. Otaczała też swoją przyjaciółkę oznaką głębokiego szacunku na każdym kroku. I teraz, pomimo własnego wzruszenia, spoglądała na nią niemal z uwielbieniem, szepcząc bezmyślnie:

— Niczego dowiedzieć się nie mogłaś... niczego. Boże, mój Boże! Kędy też nieszczęśliwa staruszka z córkami Marcina zwróciła swoje kroki? Gdzie osiedliła się z sierotami?

— Nic nie wiem.

— Czy stróżka nie dała ci jakiej wskazówki?

— Żadnej! Nie wiedziała nawet w którą stronę miasta Żarska kazała przenieść resztę swoich nędznych sprzętów. Ani jej, ani męża nie było wówczas w domu na Chmielnej. Jego posłano do cyrkułu, ją z listami na pocztę. Ale kto wie, czy ślepa i dziewczynki nie udały się na prowincyę, na parę dni bowiem przed przeprowadzką, mówiły podobno z sobą o wyjeździe na wieś... Tak się przynajmniej stróżce zdawało, nie twierdziła jednak, aby rozmawiały o tem, jak o stanowczym zamiarze... Wyraziła tylko przekonanie, może jedynie na przesłyszeniu się oparte.

— Zgubieni! — jękła Gienia, ściskając serdecznie Franciszkę.

Odeszła, pogrążona w cichym smutku.

. . . .

— Na jednej z uliczek, przytykających do rynku tak zwanego Nowego Miasta, wynajęła pani Żarska jeden nędzny pokoik z kuchenką w podwórzu, na parterze, w którym wraz z obu wnuczkami wiodła dalej ciężki żywot, pełen codziennych prywacyj i udręczeń. Zimno dawało się im ciągle we znaki, bo opał był zbyt drogi, aby mogły nabywać go w dostatecznej ilości, a w starym i niemal zupełnie zrujnowanym domu wilgoć, występująca na ściany, dokuczała niezn śnie staruszce, z powodu ślepoty spędzającej tygodnie całe w lichem mieszkaniu. Janka nie było, nie miał zatem kto wyprowadzać ją na miasto. C. d. n.



Rewolucyjne demonstracye w Łodzi: Kozacy strzelający w bezbronny tłum demonstrantów.

Obłęd, czy szantaż?

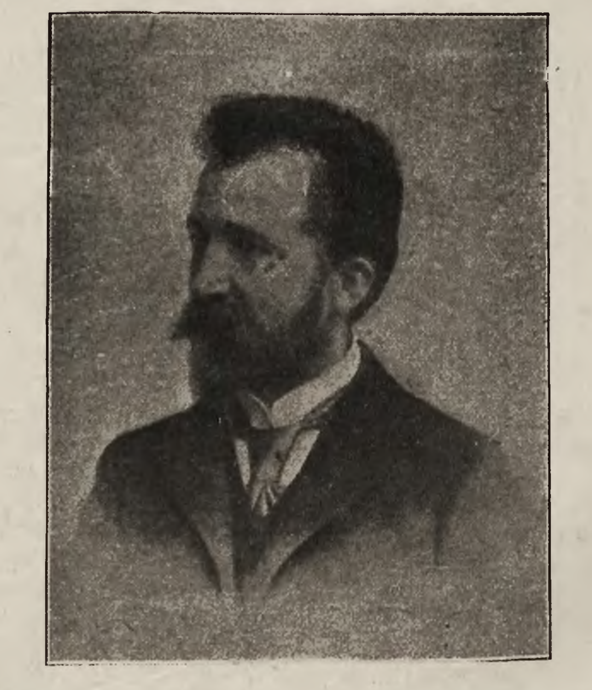
Geniusz i obłęd mają bardzo subtelne granice — granice dające się wytyczyć li tylko przez psychiatrów i badaczów owych nigdy niezbadanych dziedzin, jakiemi są i będą umysł i duch człowieka.

Obłęd i geniusz stykają się z sobą: mamy tego liczne przykłady i dowody — mamy zapiski słynnych psychiatrów, wykazujące niezbicie trafność teoryi Lombrosa.

Jako przyczynek do tego ciekawego zjawiska może posłużyć świeżo — przez władze sądowe i policyjne wykryta afera Putyry-Połotyńskiego.

Jest to historya jakby wprost wzięta z kryminalnych romansów Borna lub Gaborieau... Posłuchajmy jej! Był sobie pewien biedny chłopek, w górach wzrosły i w górach wychowany, któremu „talenta“ wróżono, wnosząc o przyszłej jego genialności prawdopodobnie z tego, że ukończywszy chlubnie szkółkę wiejską — umiał w jakim 16 lub 17 roku życia ortograficznie się podpisać i do tysiąca rachować. Uradzono posłać go do miasta — do szkół. Smutna dola zapoznanych wiejskich geniuszów. Młody Jasiek Putyra znalazłszy się wśród ponurych pustych murów miejskich, przykuty do greckiej gramatyki i podręczników matematycznych Mocnika-Maryniaka — zatracił resztki swej chłopskiej inteligencyi. Wiedzy swej nie wzbogacił, natomiast wrażliwy jego umysł doznał szkodliwych wpływów miasta. Matury nie zdał — natomiast jako zwykły szeregowiec zaasenterowany, miał odsłużyć przepisowe 3 lata przy wojsku. Z wojska — dla szczupłej swej kompleksyi został wyrokiem superarbitrów uwolniony i uciekł z horyzontu krakowskiego...

A teraz drugi rozdział senzacyi. Na krakowski Uniwersytet zapisuje się młody człowiek, przedłożywszy żądane dokumenta studyów niższych i zostaje przyjęty w poczet „zwyczajnych słuchaczy prawa“. Nazwisko jego brzmiało bardzo arystokratycznie; młody prawnik zwał się: Janusz, Artur, Olaf, Dunin, Wąsowicz-Połotyński. Dokumenta szlacheckie stwierdzały jego pochodzenie. Pomagając sobie lekcyami, „przebił się“ przez Uniwersytet i uzyskał absolutoryum. Młody człowiek przejechawszy pewnego razu granicę rosyjską za cudzym paszportem — miał niejakie ambarasy z wylegitymowaniem się. Na nieszczęście użyty przez niego paszport należał do człowieka, śledzonego przez władze rosyjskie. Przytrzymany przyznał się do nadużycia i podał, że córka jednego obywatela z kieleckiego, niejaka pna C., jest jego narzeczoną. Odsiedziawszy kilka tygodni więzienia, zaręczył się i pobrał istotnie z narzeczoną — i przywiózł ją jako żonę do Krakowa. Tu pan Połotyński wynalazł rozmaitych krewnych i na podstawie szlacheckich dokumentów, które w odnośnych urzędach legalizował — uwierzytelnił się zupełnie i jako potomek starej arystokratycznej rodziny wstąpił na praktykę do sądu. Nie dość jednak na tem. Wykazał rzekome pokrewieństwo swe z hrabską rodziną Chotków, z których jak wiadomo jedna córka jest morganatyczną małżonką następcy tronu austryackiego. Na tej zasadzie opierając się, prosił Najjaśniejszego Pana, by raczył dziecko jego do Chrztu św. trzymać.



Obłęd czy szantaż?: Jan Putyra „anskultant sądowy“.

To przepełniło miarę. Z kancelaryi „Burgu“ przyszła odmowna odpowiedź i zarazem energiczne polecenia, skonstatowania tożsamości Połotyńskiego. I cóż się pokazało? Rzekomy Połotyński jest zupełnie identycznym z góralskim synem Jaśkiem Putyrą, którego ambicya czy mania wielkości popchnęła na drogę fałszowań dokumentów i przedstawiania się za potomka arystokratycznej rodziny. Na podstawie również sfałszowanych dowodów— przeszedł przez uniwersytet i zajął stanowisko urzędnika sądowego. W inkwizycie wyszła jednak rzecz na jaw: Biedny Putyra jest chory umysłowo i przez to samo za swoje oszukańcze czyny nie odpowiedzialnym wobec prawa.

Uwolniono go w tej chwili z więzienia i jako „nieszkodliwego“ zwrócono rodzinie.

Ciekawe zagadnienia dla psychologa i psychopaty; do jakiej gienialności zbrodniczej doprowadzić może — zboczenie umysłu?..

Antymobilizacyjne demonstracye w Łodzi.

Zdaje się, że krew i łzy, któremi przez tak długie czasy ociekały ziemie przygniecione stopą caratu, obudziły wreszcie ze snu Nemezys. Zdaje się, że jej ręka kreśli na murach carskiego pałacu i wszystkich gmachów rządowych historyczne pełne grozy słowa: *„Mane, Tekel, Fares“!*

Krew ofiar pędzonych na Daleki Wschód, jak bydło na rzeź — ofiar, co o głodzie i chłodzie czekają, kiedy wybije ich ostatnia godzina—niby gwałtowny huragan wstrząsnęła sercem całej ludności. Płacz dziatek, którym zabierają ojców, jęk żon, z których objęć wydzierają mężów, nie przebrzmiał bez echa.

Ze wszystkich stron — zarówno z obszarów rdzennej Rosyi, jak z ponad Wisły, Niemna i Donu nadchodzą wieści o wrzeniu wśród całej ludności, o krwawych demonstracyach antymobilizacyjnych, w których leje się krew i padają trupy nie tylko po stronie demonstrujących, lecz także po stronie obrońców caratu: policyi, kozaków i żandarmów.

W ubiegłym tygodniu widownią takich demonstracyi i walk było fabryczne miasto Łódź, gdzie podczas drugiego dnia świąt Bożego Narodzenia, w samo południe tamtejsza ludność robotnicza urządziła olbrzymią demonstracyę przeciw nowej mobilizacyi.



Podwójna zbrodnia z miłości: Józefa Czerkawska zastrzelona przez Jankowskiego.

Demonstranci zebrali się na Górnym Rynku, skąd rozwinąwszy olbrzymi sztandar na sześć łokci długi, a na trzy szeroki z napisem: „Nie będziemy żołnierzami cara"! ruszyli ulicą Starozarzewską ku Widzewskiej, wznosząc okrzyki rewolucyjne.

W ulicy Widzewskiej tłum spotkał się z kozakami, policyą i żandarmami. Aby więc uniknąć starcia i rozdzielić siły władz, demonstranci rozproszyli się, zamierzając stworzyć kilka pochodów równocześnie.

Ale gdy policya zaczęła napadać na pojedynczych przechodniów i poddawać ich rewizyi, demonstranci zaczęli się bronić rewolwerami. Polała się krew. Trzech policyantów i jeden kozak trupem zasłało ulicę. Kilkunastu demonstrantów zostało zranionych, lecz mimo wszystko aresztowań było mało.

Wojna na Wschodzie nie tylko w Mandżuryi przynosi caratowi klęskę. Gorszą bowiem gotuje mu w domu w postaci rewolucyi, której widmo unosi się wciąż w powietrzu!...

Straszna zemsta studenta na profesorze.

Wiek nerwowości, w jakim żyjemy, wyciska swe piętno nietylko na duszach i umysłach dojrzałych współczesnych ludzi, ale nawet nie oszczędza i młodzieży. Złe warunki hygieniczne, obciążenie dziedziczne i nadmierna praca szkolna — przygotowują w słabszych organizacyach młodzieży znakomity, podatny grunt do rozmaitych newroz, neurastenii, zboczeń umysłowych i zwyrodnień.

Czytamy i słyszymy często o samobójstwach nieletnich chłopców i młodych panienek — z powodu otrzymania złej cenzury, urojonego prześladowania przez profesora lub zbyt surowego nadzoru domowego. Nierzadkie są wypadki, że 16-letni wyrostek odbiera sobie życie „z miłości" dla 13-letniego podlotka.

Smutna to ironia losów czy przeznaczenia. Młode istoty padają ofiarą własnych urojeń, chorobliwej fantazyi i przywidzeń — zamiast, by w fizycznem i moralnem zdrowiu — wyrosnąć kiedyś na użytecznych członków społeczeństwa.

Smutne te — powtarzamy — spostrzeżenia, naprowadziły na Zachodzie Europy uczonych i pedagogów do ścisłych studyów i badań, opartych na fizyologii i psychologii dziecka i statystyce samobójstw i zabójstw małoletnich.

Stokroć jednak smutniejsze, jeżeli ofiarą młodego szaleńca pada druga egzystencya — często przełożony.

Pożałowania godny fakt taki zdarzył się w przemyskiem ruskiem gimnazyum.

W chwili, gdy prof. Klemens Chlebowicki przestępował próg sali klasy VIII, padł niespodzianie za nim strzał — i równocześnie ugodzony kulą w tył głowy — runął profesor na ziemię, krwawiąc obficie z otworzonej rany. Na huk strzału zaroiło się na korytarzach i schodach. Zbiegli się studenci, profesorowie i dyrektor. Zastali jednak już tylko dwa trupy, a raczej dogorywające w konwulsyach ciała ludzkie. Obok śmiertelnie rannego profesora leżał i morderca jego, student Włodzimierz Worobel, który natychmiast po spełnieniu zbrodni na profesorze — strzelił sam sobie w skroń. Zaalarmowano policyę, magistrat, wezwano lekarzy. I pomoc lekarska i zamierzone śledztwo policyjne — wszystko to już było spóźnione. Umarli nie mówią. Ograniczono się zatem na przewiezieniu ich do szpitala, gdzie student Worobel w największych męczarniach — nie odzyskawszy już przytomności — zmarł, ofiara zaś jego, prof. Chlebowicki, walczy ze śmiercią, a lekarze słabą robią nadzieję utrzymania go przy życiu. Przyczyną zbrodniczego, a tak tragicznego zamachu miała być ta okoliczność, że student Worobel, jak nieraz kolegom się zwierzał, czuł żal do prof. Chlebowickiego za „niesłuszne, a dotkliwe sekowanie go". Worobel, syn palacza kolejowego z Wilczego pod Przemyślem, repetował przez 2 lata klasę VII w Przemyślu. Po otrzymaniu „dwójki" i w drugim roku, przeniósł się Worobel do Krakowa, a obecnie przyjechał do Przemyśla na święta Bożego narodzenia nowego stylu, a zatrzymawszy się dłużej — wykonał zamach na nieżyczliwego mu rzekomo profesora.

Dodaję, że nieszczęśliwy młody człowiek dokonał niesłychanej tej zbrodni w stanie silnego sztucznego podniecenia. Biedak wypił „na odwagę" sporą ilość wódki — i nią oszołomiony targnął się na cudze i swoje życie.



Podwójna zbrodnia z miłości: Plutonowy Jan Jankowski samobójca i morderca Józefy Czerkawskiej.

Podwójna zbrodnia z miłości.

Miłość źle lub niewłaściwie skierowana — miłość przeradzająca się w ślepą, niczem nie miarkowaną namiętność — była niejednokrotnie powodem strasznych katastrof, której ofiarą padają dotknięci jej szałem.

Wielki procent zbrodni i samobójstw ma swe źródło w nieszczęśliwej miłości.

Wypadek taki — wypadek podwójnej zbrodni i samobójstwa na tle zwyrodniałej miłości — zdarzył się niedawno w Żółkwi, która i tak dopiero była widownią podobnego krwawego zajścia.

Jest to jakby karta wycięta z romansu kryminalnego. Nie brak tu dramatycznego zawikłania na tle miłosnem, nie brak krwawego rozwiązania: zabójstwa trzeciej osoby — i samobójstwo zrozpaczonego kochanka.

W jednym z podrzędniejszych zajazdów miasteczka — w „hotelu" Plappera usłyszano dwa po sobie następujące strzały. Zaalarmowano natychmiast policyę i siłą wtargnięto do numeru, skąd strzały pochodziły.

Straszny widok przedstawił się ich oczom. Zbroczona krwią leżała na łóżku młoda kobieta, a obok niej w siedzącej postawie jakiś wojskowy z pochyloną na piersi głową, z krwawym śladem w skroni. W zaciśniętej kurczowo dłoni tkwił wojskowy rewolwer.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że zaszła tu podwójna zbrodnia — zbrodnia, jak się domyślano, popełniona z miłości. Trafność domysłu potwierdziły napisy na ścianie — jak się zdaje w ostatniej chwili przed śmiercią węglem przez zrozpaczonych wykonane. Napis pierwszy brzmiał: „Proszę nas po śmierci nie rozłączać — Jan Jankowski. Józia Czerkawska". Nadto była jeszcze przez denatkę wyrażona prośba by „koleżanki" sprawiły jej do trumny... wianek!...

Dziwna ironia w chwili śmierci! Kobieta gnąca w grzechu, w zapomnieniu wzniosłych obowiązków, jakie Bóg i przyroda kobiecie wyznaczyły — istota upadła, która straciła prawa do szacunku czci ludzkiej — żąda po śmierci... wianka dziewicy!..

Bezpośredni powód zbrodni pozostał niewyjaśniony. Tajemnicę tę unieśli ze sobą nieszczęśliwi do grobu. Skonstantowano jedynie, że mężczyzna zwał się Jan Jankowski i był plutonowym 4-go pułku ułanów w Żółkwi; kobieta zaś, niejaka Józefa Czerkawska „bez zajęcia".

Śmiertelny strzał, skierowany do Czerkawskiej, pozbawił ją natychmiast życia: kula przebiła serce. Jankowski również skonał od razu: pocisk rewolwerowy wymierzony był w skroń i na wylot przebił czaszkę.

Cichy pogrzeb, bez udziału Duchowieństwa, bez obrzędów religijnych, odbył się dnia 28 grudnia z. r.

Samobójcy zostali — stosownie do ostatniego, swego życzenia — pochowani we wspólnej mogile...



Krwawa zemsta studenta na profesorze: Student Worobel strzeliwszy do prof. Chlebowickiego, odbiera sobie życie strzałem z rewolweru.



Fot. Leon Majewski. Tarnów.
Prace uczniów: Gmach stowarzyszenia „Gwiazdy“ w Tarnowie, gdzie urządzono wystawę prac uczniów rękodzielniczych

Prace uczniów.

Silny ruch, dążący do uprzemysłowienia naszego biednego kraju, popyt na wyroby krajowe, który ostatnimi czasy wzmógł się nader znacznie, zbudził rękodzielników naszych z apatyi, w jakiej pogrążyła ich bieda, brak rynków zbytu i troska o jutro. Dziś dzięki poparciu całego społeczeństwa, wszedł nasz przemysł krajowy na nowe tory; dziś dźwigają się rękodzieła i nowe pokolenie rzemieślników z nadzieją patrzy w przyszłość, z ochotą ima się pracy, pewne, że współobywatele ocenią zacne ich chęci i dążenia, że podadzą im dłoń pomocną i użyczą nietylko platonicznego poparcia.

Dowodem tego nowego życia naszych rzemiosł są w pierwszym rzędzie wystawy prac uczniów rękodzielniczych. Najlepiej zorganizowani, najpotężniejsi finansowo i umysłowo drukarze, pierwsi rzucili myśl stworzenia takich wystaw i myśl tę w czyn wprowadzili. Za ich przykładem poszły inne rzemiosła i niebawem instytucye takich wystaw zaklimatyzowały się w naszym kraju, budząc w młodocianych robotnikach chęć wzajemnej ambicyi, nakłaniając ich do usilnej pracy przez szlachetne podrażnienie ambicyi.

Niedawno w Tarnowie odbyła się taka wystawa prac uczniów rzemieślniczych.

W gmachu tamecznej „Gwiazdy“, która ubikacye swe bezpłatnie z całą gotowością oddała komitetowi wystawowemu, młodzież rzemieślnicza znalazła przytułek dla swoich wyrobów. Ze zdumieniem przypatrywała się publiczność zebranym tam okazom. Wystawa przeszła bowiem wszelkie oczekiwania. Dział skórzany, drzewny i tapicerski w pierwszym rzędzie zwróciły na siebie uwagę zwiedzającej publiczności. Wszystkie wyroby, jakie złożyły się na całość tych działów, odznaczały się nietylko silnem, porządnem odrobieniem, ale także i tą lekkością, tą elegancyą, która zdobyła u nas mir dla produktów zagranicznego przemysłu.

Wystawa prac uczniów w Tarnowie jest nowym dowodem, że kraj nasz ma wszelkie dane do tego, aby celem zaspokojenia potrzeb naszych, nie szukać obcych bogów, ale zwracać się do swoich — zawsze i jedynie tylko do swoich.



Fot. Leon Majewski. Tarnów.
Prace uczniów: Wystawa okazów prac uczniów rękodzielniczych w Tarnowie.

Odznaczenie plutonowego w Przemyślu.

Samolubstwo, ta zasada starożytna, skrystalizowana w trzech słowach *„prima charitas ab ego“* tak już w mniejszym, lub większym stopniu wzrosło w serca ludzkie, tak choć przysłonione szlachetnymi porywami, tkwi tam gdzieś na dnie, że ze zdziwieniem spoglądamy na ludzi, co, nie bacząc na własne „ja“, z narażeniem swojego życia spieszą na ratunek swym bliźnim.

Mimowoli schyla się czoło przed takim dzielnym, pełnym poświęcenia się osobnikiem — mimowoli budzi się w naszych sercach dla takich ludzi nieme uwielbienie i pragnienie, aby za czyn taki spotkała ich zasłużona nagroda.

I zwykle też nagroda ich spotyka — nagroda honorowa.

Niedawno właśnie, w drugiej połowie grudnia zeszłego roku, 10 batalion pionierów, stacyonowany w Przemyślu, obchodził uroczystość wręczenia odznaki honorowej, srebrnego krzyża zasługi z koroną plutonowemu Andrzejowi Żołyniakowi, który uratował jeszcze podczas ostatnich wakacyi tonącego w Sanie ucznia VII klasy gimnazyalnej, Zawadowicza, od niechybnej śmierci.

San, ta wspaniała rzeka, w malowniczych skrętach srebrzystą wstęgą swych nurtów okalająca Przemyśl, rok rocznie porywa kilka ofiar, rok rocznie kilka rodzin okrywa smutkiem i żałobą. Wśród wirów tej rzeki są nawet specyalne miejsca, w które kogo raz rzucą spienione fale, ten musi już pożegnać się z życiem.

Młody uczeń gimnazyalny, Zawadowicz, korzystając z letnich wywczasów, pewnego dnia poszedł



Fot. Michał Todt. Przemyśl.
Odznaczenie plutonowego w Przemyślu: Andrzej Żołyniak, plutonowy 10 batalionu pionierów, udekorowany srebrnym krzyżem zasługi z koroną za uratowanie życia ludzkiego.

kąpać się do Sanu. Nieszczęśliwy wypadek chciał, że fala porwała go w strefę wirów, gdzie już niejeden człowiek śmierć znalazł. Zawadowicz, dzielny pływak począł walczyć z falami, ale po krótkim oporze, dostawszy kurczów, poczuł, że tonie.

Rozpaczliwy jego krzyk, wzywającego ratunku, zwrócił uwagę przechodzącego podówczas tamtędy jak na szczęście plutonowego 10 batalionu pionierów, Andrzeja Żołyniaka. Dzielny żołnierz, nie namyślając się ani chwili, tak jak stał, w pełnym mundurze wskoczył do rzeki i pospieszył tonącemu z pomocą. Nadludzkie wysiłki odważnego żołnierza uwieńczył pomyślny skutek. Niebawem i ocalony i wybawca znaleźli się w bezpiecznym miejscu na brzegu rzeki.

Kilka miesięcy minęło od tej chwili i wreszcie cesarz Franciszek Józef I, jako naczelny wódz armii, udzielił zacnemu żołnierzowi honorowej odznaki za ten czyn bohaterski, srebrny krzyż zasługi z koroną, który komendant batalionu w uroczysty sposób wręczył mu przed frontem zebranych kolegów i oficerskiego grona.

Akademia konsularna we Wiedniu.

Wiedniowi przybył nowy wspaniały budynek poświęcony naukom: nowa akademia konsularna. Przed niedawnym czasem ukończono budowę tego gmachu i cesarz Franciszek Józef I. oddał go na użytek publiczny. Równocześnie połączono z tą

uroczystością obchód jubileuszowy, którym sto pięćdziesiątą rocznicę swojego istnienia święciła najstarsza i jedyna do tej pory szkoła dyplomatyczna: akademia oryentalna.

Akademia oryentalna, która dziś ustępuje miejsca nowej akademii konsularnej, niezatartemi zgłoskami zapisała się w historyi austryackiej dyplomatyki. Zrazu skromna szkoła dla języków obcych, specyalnie zaś dla języków wschodnich, której zadaniem było kształcenie tłumaczy, niebawem rozszerzyła zakres swego działania: stała się wyższą szkołą, z której wyszedł cały szereg wybitnych dyplomatów austryackich, a którzy w całym świecie zdobyli sobie zasłużone uznanie.

Mimo to akademia ta przechodziła różne koleje, długo czekała na to. aby uzyskać specyalny gmach i aż do ostatniej chwili nie miała własnego kąta. Zrazu mieściła się ona w starym gmachu pouniwersyteckim, następnie, po zniesieniu przez cesarza Józefa II. klasztorów, otrzymała do dyspozycyi skrzydło klasztoru św. Anny i część klasztoru św. Barbary.

Nie długo jednak klasztory były schronieniem tej akademii. Po r. 1885 znalazła przytułek w wspaniałych gmachach Theresianum aż — ostatecznie wraz ze zmianą nazwy otrzymała własny gmach w dziewiątej dzielnicy, wzniesiony według planów radcy budownictwa Ludwika Baumana.

Gmach ten, zbudowany według niemieckiego stylu z czasów Maryi Teresy, składa się z czteropię-



Akademia konsularna w Wiedniu: Nowy gmach akademii konsularnej, poświęcony i otwarty w grudniu z. r.



Fot. Michał Todt. Przemyśl.

Odznaczenie plutonowego w Przemyślu: Andrzej Żołyniak, plutonowy 10 batalionu pionierów wraz z uratowanym uczniem VII kl. gimn. Zawadowiczem.

trowego budynku, stojącego na zbiegu dwóch ulic i wrzynającego się dwoma skrzydłami w głąb ogrodu, który założono dla wygody i wypoczynku słuchaczy. Front gmachu na pierwszem i drugiem piętrze obejmuje sale wykładowe i konferencyjne, oraz bibliotekę. Trzecie i czwarte piętro stanowią mieszkania, przeznaczone dla wychowanków zakładu, podczas gdy w parterze mieści się wspólna jadalnia, czytelnia, sala bilardowa i prywatne pomieszkanie rektora. W skrzydłach gmachu mieszka służba zakładu, dalej mieszczą się tam kuchnie i szpital dla chorych słuchaczy...

Rycina nasza przedstawia fotograficzną reprodukcyę tego gmachu.

Ludowy ruch na Rusi.

Lud budzi się! Zwolna zdobywa on sobie coraz większą świadomość swej żywiołowej siły, zwolna przychodzi do poznania swych obywatelskich obowiązków, które spełnia z całą prostotą, z niewymuszoną godnością. Lud budzi się, poznaje całą ważność oświaty, szuka jej, a pojąwszy, że wspólnemi siłami więcej dokazać może, niż odosobnioną pracą jednostek, łączy się w związki i stowarzyszenia, oparte częścią na tle politycznem, częścią na tle ekonomicznem.

Taki ruch obserwujemy w zachodniej Galicyi wśród naszych poczciwych Mazurów, taki ruch widać i we wschodniej Galicyi wśród naszej ruskiej braci. Tylko, że o ile ruch ludowy między Sanem a Wisłą cieszy nas wszystkich, o tyle ze smutkiem spoglądamy na Ruś Czerwoną i na Pokucie, bo tam lud fałszywą stąpa drogą.

Nie wspominamy już o ruskiej partyi moskalofilskiej, bo ona wśród ludu wieśniaczego posiada bardzo nielicznych zwolenników, a sympatyczną nigdy nam być nie może, ponieważ grawituje w stronę odwiecznego wroga naszej narodowości, prześladowcy naszych ojców i naszych braci. Nie możemy jednak milczeniem pominąć partyi Ukraińców, którzy zawładnęli niemal całą Huculszczyzną i wśród tamtejszej ludności szerzą swe zasady, zakładając polityczne stowarzyszenia, „Sicze“, mające za zadanie nietylko budzić u ludu świadomość, nieść pochodnię oświaty, ale także wpajać weń swe przekonania.

A właśnie te przekonania są smutnym dla nas objawem. Podczas gdy my w Rusinach chcemy widzieć swych braci, podczas gdy my pragnęlibyśmy, aby nas i ich łączyły te same wspólne uczucia, aby nam przyświecały te same ideały — partya ukraińska w zaślepieniu swem uważa nas za wrogów i wszczepia te przekonania w ruski lud wieśniaczy.

„Na pohybel Lachom!“ To hasło rozbrzmiewa po Rusi Czerwonej i dzwoni ponurem echem nad Pokuciem!

„Ne pora Lachom służyty“ — śpiewają młodzi „Siczownicy“ i to napawa nas smutkiem. Ukraińcy sami chcieliby nieść sztandar malinowy z wyobrażeniem Archanioła Michała, wyrwać go z tarczy herbowej, na której historya tej ziemi umieściła go między Orłem Białym i Pogonią — i to napawa nas smutkiem.

I chcą iść tak samopas, chcą wszczepić do polskiego ludu nienawiść w oczach ludu ruskiego. Dlaczego, po co i na co, pytamy. Czyż nie moglibyśmy żyć zgodnie obok siebie, wspierać się i wspólnemi siłami dążyć do celu, który ożywia nasze i ich serca, do zdobycia tak upragnionej lepszej doli.

Niestety! smutne są dziś na Rusi stosunki — smutne dlatego, że braciom naszym, których tak chętnie przycisnęlibyśmy do piersi, braterstwo z nami zdaje się być narodowem nieszczęściem i to bez żadnych istotnych powodów.

Ach! gdybyż ci ukraińscy chcieli zrozumieć, że w zgodzie i jedności jest prawdziwa nasza siła, gdyby nie nienawiść, ale miłość siać chcieli i sercem za serce zapłacić, wówczas na wzrost „Siczy“ patrzylibyśmy z radością i witalibyśmy w nich braci jednej matki!...



Ludowy ruch na Rusi: Grupa Hucułów, członków „Siczy“ z okolic Kołomyi.



Fot. Paweł Pechter. Tarnopol.

I rzemieślnicy się uczą: Grupa słuchaczów majsterskiego kursu dla stolarztwa budowlanego w Tarnopolu.

I rzemieślnicy się uczą.

Wciąż naprzód! To hasło rozbrzmiewa dziś po całym świecie. Rozumieją dziś wszyscy, że minęły już te czasy, w których na jednym raz zdobytym stopniu wykształcenia żyć mogło nawet kilka pokoleń. Rozumieją dziś wszyscy, że każdy musi iść wciąż naprzód z postępem wiedzy i nauki, jeśli nie chce ledz w walce o chleb powszedni. Rozumieją to wszyscy, odczuwają także i warstwy robotnicze i oto powód, dla którego w wykładowych salach widzimy nietylko ludzi w sile wieku, ale nawet szpakowatych, lub całkiem przyprószonych siwizną, a którzy z zapałem garną się do nauki na tak zwanych kursach majsterskich.

Jeden z takich kursów, obejmujący cały szereg wykładów dla stolarzy budowlanych a urządzony staraniem krajowej spółki stolarskiej przy poparciu rządu, odbył się niedawno i został zakończony z wielkim sukcesem w Tarnopolu.

Rysunki, geometrya, technologia, nauki o maszynach i motorach, oraz kalkulacya i buchalterya rzemieślnicza, stanowiły treść tych wykładów, na które uczęszczała znaczna liczba słuchaczy. Po wykładach teoretycznych, do których powołano fachowca p. Jana Demla z Wiednia i L. Bergera z Tarnopola (kalkulacya i buchalterya), werkmistrz fabryki Piątkiewicza p. Ditel urządził szereg praktycznych ćwiczeń ze słuchaczami w sprawie stolarstwa maszynowego.

Koszty urządzenia tego kursu tak potrzebnego dla naszych rzemieślników, pokrywała w części gmina miasta Tarnopola, która dała na ten cel nie tylko lokal, ale i kwotę czterystu koron jako subwencyę na światło i zapomogi dla słuchaczy, w części zaś Wydział powiatowy, Kasa oszczędności w Tarnopolu i brodzka Izba handlowa.

Zwiedzał ten kurs między innymi i krajowy inspektor przemysłowy radca Nawratil, który oglądnąwszy wyniki prac słuchaczów. wyraził się z najwyższem uznaniem o wynikach kursu i przyrzekł spółce stolarskiej poparcie w jej dalszem działaniu.

Wciąż naprzód! — z wiedzą i umiejętnością na każdym punkcie, na każdym kroku i w każdym zawodzie! Niech to hasło ożywia wszystkie nasze stany, wszystkie warstwy, a wówczas pozbędziemy się tej—sławnej galicyjskiej przysłowiowej nędzy!...

Szkoła realna w Tarnowie.

Z przyjemnością zaznaczyć należy, że Rada szkolna krajowa teraz nietylko dba o wzrost liczby szkół średnich w naszym kraju i o rozwój ich poziomu, ale że pieczą swą otacza fizyczne wychowanie młodzieży i dokłada wszelkich starań, aby nauki udzielano w jak najlepszych warunkach hygienicznych.

Równoległe kształcenie młodzieży zarówno w kierunku fizycznym jak i umysłowym, daje dopiero — wyniki należyte.

To też rośnie liczba gmachów szkolnych, specyalnie na ten cel budowanych, według wszystkich możliwych wymogów hygieny, z uwzględnieniem nowych sanitarnych wynalazków.

I Tarnów pozyskał teraz dla swej wyższej szkoły realnej nowe pomieszczenie. obszerny dwupiętrowy gmach, o wysokich, przestronych, jasnych salach wykładowych. gmach imponujący swą wielkością i czystością.

Oprócz sal wykładowych. kancelaryi dyrektora i sali konferencyjnej grona profesorskiego. mają tu bardzo dobre i wygodne pomieszczenie sale rysunkowe, gabinet fizykalny, biblioteka uczniów i biblioteka nauczycieli, a oprócz tego prywatne pomieszkanie kierownika zakładu i tercyanów szkolnych.

Na pierwszem piętrze znajduje się znów duża aula studencka, w której odbywają się niedzielne nabożeństwa i egzorty.

Nowy gmach, przed niedawnym czasem oddany do użytku publicznego, nietylko ze względów na zdrowotne stosunki wśród uczącej się młodzieży, ale także jako ozdoba miasta, świadcząca o jego rozwoju, słusznie może być chlubą mieszkańców Tarnowa.



Fot. Leon Majewski. Tarnów.

Szkoła realna w Tarnowie: Nowy dwupiętrowy gmach szkoły realnej.



Muzyka 56 p. p.: Grupa członków orkiestry 56 pułku piech. z kapelmeistrem p. Józefem Markiem i ofic. służbowym p. nadporuczn. Schifnerem na czele, w podwórzu na Zamku Wawelskim.

Muzyka 56 p. p.

Nie sprzeniewierzając się naszej zasadzie, według której chcielibyśmy wśród wszystkich krakowskich muzyk widzieć na pierwszem miejscu „Harmonię“ — możemy kilka słów poświęcić orkiestrze 56 pułku piechoty i to tem bardziej, że orkiestra owa w życiu cywilnego Krakowa bierze znaczny udział i wśród ogółu mieszkańców cieszy się ogólnem uznaniem oraz zasłużoną sympatyą.

Jedna z najlepszych orkiestr wojskowych pod batutą obecnego kapelmistrza p. Józefa Marka, zdołała sobie zaskarbić względy publiczności i zdobyła taką sławę, że nawet przyćmiła nieco blask orkiestry, dowodzonej przez kapelmistrza Hocka, a najlepszym tego dowodem jest popularność, jaką się cieszy w naszem mieście. Widzimy ją wszędzie: i w teatrze ludowym, gdzie zawsze chętnie spieszy, nie zważając na to, czy dyrekcya jest w złej, czy w dobrej doli, i w sali balowej resursy urzędniczej, latem i zimą w Parku Krakowskim, a nie wspominamy już, że *great attraction* wszystkich koncertów jest napis na afiszu: „muzyka 56 pułku piechoty pod osobistem kierownictwem kapelmistrza Marka“.

I nie dziw, że muzyka ta otaczana jest taką sympatyą ze strony publiczności, skoro w szeregach jej na pierwszym planie spotykamy same nazwiska polskie: Kamler, Abraham, Klimek, Nowak, Swoboda i Dąbrowski, a zwłaszcza Dąbrowski, który jako skrzypek parokrotnie koncertował już i to z dużem powodzeniem. Jako soliści niemało przyczynili się do pozyskania sławy dla swojego sztandaru.

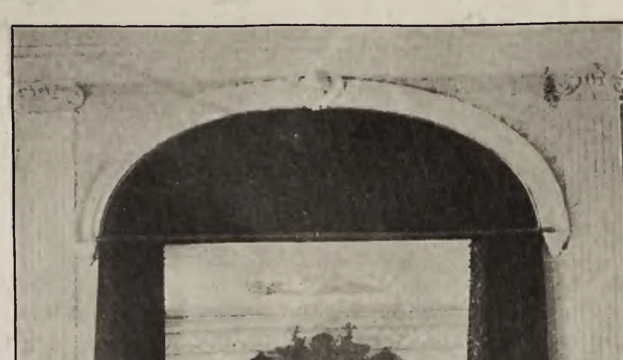
Ale główna zasługa w zdobyciu tych tryumfów i tego uznania jest po stronie kapelmistrza i kierownika orkiestry p. Marka. Sam znakomity skrzypek, posiadający gruntowne wykształcenie muzyczne, pełen energii, zapału i ambicyi nie szczędzi trudów, ani pracy, byleby tylko powierzoną sobie orkiestrę postawić na najwyższym szczeblu doskonałości.

Oprócz tego ma jednak jeszcze czas poświęcać się i kompozytorskiej pracy. Znane są i nadzwyczaj lubione jego walczyki „Chryzantemy“. On to skomponował muzykę do wodewilu K. Krumłowskiego „Szalona księżna“, a muzyczka ta lekka, pełna melodyjności, tak przypadła wszystkim do gustu, że „Szalona księżna“ dwadzieścia cztery razy widziała światło kinkietów w Krakowie, a pięćdziesiąt dwa razy w Warszawie. Obecnie zdolny ten muzyk pracuje nad ilustracyą muzyczną do wodewilu „Przewodnik tatrzański“, który w letnim sezonie ma wystawić warszawski teatrzyk „Renesaince“...

Tyle o orkiestrze 56 pułku piechoty i jej dzielnym kapelmistrzu, którego szczera praca znalazła wśród krakowskiej publiczności taką sympatyę i uznanie, a na co sobie w zupełności zasłużyła.



Zmarły arystokrata: Książę Antoni Radziwiłł zmarły w grudniu z. r. w Berlinie.



Fot. Leon Majewski. Tarnów.

Szko[illegible] Tarnowie: Ołtarz z obrazem Matki Boskie[illegible] w auli nowej tarnowskiej szkoły realnej.

Zmarły arystokrata.

W ubiegłym tygodniu złożono w Berlinie, do grobu św. pamięci Antoniego księcia Radziwiła, jednego z najbogatszych magnatów polskich, skoligaconego nawet z zasiadającą na pruskim tronie rodziną Hohenzollernów.

Mimo swego wysokiego stanowiska towarzyskiego, mimo koligacyi tak wysokich, zmarły arystokrata nie odegrał w życiu politycznem naszego narodu wybitnej jakiejś roli. Obcą mu była polityka, a wpływów, jakie miał na dworze cesarskim, dla politycznych względów wykorzystywać nie chciał, czy też nie umiał, bo uśmiechał mu się zanadto spokojny żywot zdala od walk społecznych i narodowościowych.

W zmarłym, naród nasz nie stracił więc politycznego wodza, ale tylko jednego z najwybitniejszych przedstawicieli naszej arystokracyi, na którego oczy wszystkich dlatego tylko były zwrócone, że stał najbliżej tronu i że zawsze w ciężkich dla nas chwilach społeczeństwo spodziewało się jego poparcia. Jak zaś bliskim tronu był zmarły magnat, najlepiej dowiódł jego pogrzeb. Chowano go z wojskowemi honorami; padło dwadzieścia cztery strzałów armatnich, gdy zwłoki jego wynoszono z kościoła, a w orszaku żałobnym na czele jeneralicyi, niemieckiej arystokracyi i najwyższych urzędników państwowych, tuż przy członkach rodziny zmarłego, postępował sam cesarz Wilhelm II. Cesarzowa zaś osobiście odwiedziła żonę zmarłego w jej pałacu i złożyła jej wyrazy współczucia.

Cesarz Wilhelm II, który Polaków nie lubi, nad grobem swego kuzyna zapomniał o tem, że należał on do znienawidzonej narodowości i złożył mu ostatnią przysługę tak jak przepisywał ceremoniał dworski, będący alfą i omegą zachowania się i całego postępowania pruskiego monarchy.

Tak wyglądał pogrzeb zmarłego arystokraty polskiego.

Wiarołomna żona.

WSPOŁCZESNY ROMANS KRYMINALNY.

15 (Ciąg dalszy).

Hrabianka Landerberg szalała ze złości. Tryumf Klary był dla niej ciosem śmiertelnym. O niczem innem nie zdołała myśleć, tylko o tem, by strącić rywalkę z zajętego stanowiska, by ją zdeptać, zemścić się i znowu tryumfować. Oczywista rzecz, że niepodobna jej było działać z własnego ramienia, więc czyniła zabiegi, aby od księżnej otrzymać takie zlecenia, któreby jej dawały zupełną swobodę działania.

Księżna ufała Judycie, lubiła ją, nawet poniekąd ulegała tej przebiegłej, a energicznej towarzyszce. Wiedziała to i czuła Judyta, więc zarzucała sidła, by wyłowić od księżnej stanowcze pełnomocnictwo przeciw Klarze.

Nazajutrz, po rozmowie panującego księcia z następcą tronu, wezwała księżna Judytę do swego gabinetu, na poufną rozmowę.

— Wezwałam cię kochana hrabianko — rzekła księżna—aby usłyszeć od ciebie, jakie też rozmiary przybiera w sferach towarzystwa ten niewłaściwy wybryk następcy tronu? Bądź pani szczerą, proszę bardzo, życzę sobie tego.

— Najjaśniejsza pani rozkazuje, więc będę posłuszną, chociaż sprawi mi to przykrość jaknajwiększą.

— Czy aż tak?

— Istotnie.

— Przerażające!

— Niestety!

— Czy skandal dostał się już na ulicę?

— Mam relacye, że nawet ulica wprost oburzona, a towarzystwo pojąć nie może niewyczerpanej dobroci najjaśniejszych państwa, że ta osoba nie została oddaną do więzienia.

— Chciejże zrozumieć kochana hrabianko, że o wdaniu się władzy w tę sprawę mowy być nie może, bo stawianie tej niegodziwej przed sądem i traktowanie rzeczy z urzędu, powiększyłoby skandal, a tego unikać się musi.

— W takim razie należałoby dowiedzieć się, gdzie ta osoba przebywa i niechby zaufani ludzie zabrali ją stamtąd niepostrzeżenie i ukryli tak, by książe nigdy już odszukać jej nie zdołał.

— Rozmawiałam o tem wszystkiem z moim mężem. Co do następcy tronu postanowienie zapadło, a co do owej kobiety chciałam z tobą się naradzić.

— Jestem na rozkazy najjaśniejszej pani.

— Uczyń tak, jak mówiłaś. Postaraj się, abyśmy już o tej osobie nic nie wiedzieli i aby następca tronu nigdy jej nie odszukał. Nie wyrządzając jej żadnej krzywdy, nie dopuszczając się żadnego bezprawia, należy ją w tajemnicy wywieźć i w jakim zamku, lub w jakim zakładzie internować, pod ścisłą odpowiedzialnością tych, którym się straż nad nią powierzy. Gdy Ferdynand nie będzie jej widział przez czas dłuższy, odwyknie, zapomni, a potem po ślubie z Elzą będziemy już spokojni i ową osobę wyprawi się na zawsze za granicę.

— A czy księżniczka Elza zechce teraz dotrzymać zobowiązań zaręczynowych?

— Księżna matka zapewnia, że Elza się uspokoi, nakłoni, tembardziej, że sama też dopuściła się wielkiego zapomnienia, czyniąc ową nierozważną wycieczkę do zakładu Katzenbergera.

Judyta zmieszała się cokolwiek. To zapewnienie było jej bardzo niemiłe, bo i teraz jeszcze pieściła się myślą, że zdoła zdobyć sobie serce Ferdynanda, skoro tylko rywalek się pozbędzie. Przywykła panować nad sobą zawsze i wszędzie i teraz nie odsłoniła przykrego wrażenia.

— Ale przedewszystkiem proszę o to, życzę sobie tego — mówiła dalej księżna—aby wszystko uczynić bez rozgłosu, bez skandalu, aby się nic nie dostało do ust ulicy, a nawet i do salonu. Wszystko cicho, zręcznie, tajemnie.

— Więc najjaśniejsza pani poleca to mnie wyłącznie?

— Tak, upoważniam cię hrabianko, byś z mego ramienia działała tak, jak już zaleciłam. A teraz cię pożegnam, bo oczekuję następcy tronu.

Księżna skinęła głową, Judyta złożyła etykietą przepisany ukłon i wyszła uradowana, kipiąca zemstą, zawiścią, piekielną złością.

Niedługo potem wszedł Ferdynand do gabinetu matki.

— Wezwałam cię, mój drogi, aby cię po macierzyńsku upomnieć. Czy też nie zadrgało w tobie serce na widok ojca, cudem wydartego śmierci?

— Ależ mamo, wszakże nie dałem do tego powodu, aby ojciec przezemnie chorował.

— Więc to, co uczyniłeś, nie jest powodem wyłącznym i jedynym śmiertelnej choroby ojca?

— Ojcu przedstawiono Klarę, jako osobę niegodziwą, a to prosta intryga hrabianki Landesberg i jej sprzymierzeńca marszałka Wurma. Klara, to osoba godna, aby ją morganatycznie poślubić. Czyż ja pierwszy to uczyniłem? Czyż nie ma nawet monarchów, żyjących w związku morganatycznym?

— Zaślepiony jesteś — w tem twoja wina, w tem nieszczęście nasze. Ta osoba nie jest godną nawet twojego kamerdynera. Uczciwy człowiek tylko brzydzić się może taką osobą.

— Ależ mamo...

— Proszę mi nie przerywać. Upominam cię i polecam, abyś się jaknajściślej zastosował do rozkazów ojca. Masz wszelkie stosunki z tą osobą zerwać; nie wolno ci opuszczać zamku bez wiedzy i zezwolenia ojca. Twój dawny adjutant hr. Buchenau, dla którego okazałeś się bardzo niewdzięcznym, mianowany komendantem miasta. Ma surowy rozkaz czuwać i nie wypuszczać cię ze stolicy. Ojciec postanowił użyć względem ciebie władzy ojcowskiej i monarszej, w całej pełni i posługiwać się choćbynajsurowszymi środkami, byle cię powstrzymać od dalszych wybryków. Z tą osobą musi czemprędzej nastąpić rozwód, poczem odbędzie się wesele z Elzą, w sposób bardzo uroczysty, aby w blasku i rozgłosie najwykwintniejszych ceremonii, utonęły i wspomnienia twych niedorzeczności.

— Matko! wybacz, że będę szczerym. Klarę poślubiłem, Klarę kocham, ona jest mojem szczęściem. Będę jej bronił, jak siebie samego, jak własnego szczęścia. Nie będę jej w świat wprowadzał, będę z nią żył w zaciszu, którego nikt nie zna, do którego nikt nie zdoła się dostać. Świat zapomni o niej, gdy jej nie będzie widział, gdy o niej przestaną mówić, gdy ją przestaną u dworu szarpać i oczerniać.

— To zacisze wymarzone musimy odkryć.

— Pozwól matko, że będę w tej chwili stanowczy i oświadczę, że tego zacisza nawet rodzicom nie odkryję, że mego szczęścia się nie pozbawię i pozbawić nie dam.

— To zuchwalstwo!

— To szczerość.

— Skończyliśmy synu. Kiedyś ze łzami w oczach będziesz się wstydził tego, coś uczynił i coś tu teraz niebacznie powiedział. Żegnam cię, niech Bóg czuwa nad tobą.

Księżna cofnęła rękę, gdy ją syn chciał pocałować i rozrzewniona, zbolała, odwróciła się od niego.

Ferdynand wrócił do swoich apartamentów w najwyższym stopniu rozstrojony. Rozdrażniło go to szczególnie, że stał się poniekąd więźniem w rezydencyi. Długi czas biegał z jednego pokoju do drugiego, rzucał się jak lew w klatce. Miotały nim przeróżne uczucia. Miłość synowska, poczucie honoru, nienawiść do Judyty, namiętność do Klary, wiara w jej uczciwość i podejrzenia. Radość, że ją poślubił i chowa, aby mu jej nie wydarto. Młody upór i opór wobec rozkazów ojca i lęk, aby się groźby ojcowskie nie spełniły — wszystko to mięszało się, kłóciło, kotłowało, kipiało w nim. Zdawało mu się, że głowę rozsadzi ten zamęt, że go skrępowano powrozami, których rozszarpać nie może. Ha! nużby spróbować!

— Łukasz! — zawołał, otwierając drzwi przedpokoju — chodź tu.

Łukasz wpadł.

— Wystaraj się o dwa przebrania, a to dla mnie i dla siebie. Przygotuj dwa konie i czekaj z nimi pod młynem. Wszystko tak zrobić, by nikt nie wiedział, nikt się nie domyślał. A prędko! Za godzinę pod młynem.

Pierwsze gromy.

W leśnej gęstwinie, zdala od świata i ludzi, śród rozległej puszczy, stał dom nie wielki, lecz schludny, miły, urządzony z wdziękiem i przepychem. Była to niegdyś leśniczówka, ale na leśniczego zasadzali się kłusownicy i niebezpiecznie było mu tam mieszkać, więc zarząd dóbr książęcych wyznaczył mu we wsi mieszkanie, śród ludzi, bezpieczne i spokojne, a domek stał pustką czas długi. Nie dawno dopiero oporządzono dom, rozszerzono, urządzono po pańsku, wykwintnie. Nikt się nie dopytywał po co i na co to robiono, a i dopytywać właściwie nie miał kto, bo ludzi wokoło nie było, nikt w pobliżu nie mieszkał. Chyba spłoszona sarna, lub zbudzony ptak na gałęzi świerka zadziwić się mogli, że w puszczy pałacowe robi się mieszkanie.

To książę Ferdynand zawczasu przygotował siedzibę dla Klary, a uczynił wszystko w takiej tajemnicy, tak zręcznie, że nikt u dworu niczego się nie domyślał, że prócz Łukasza, nikt zgoła nie wiedział, iż owe porządki robi się z rozkazu następcy tronu.

Tam to po ślubie przebywa Klara. Jaka ona szczęśliwa! Jest żoną księcia, bajka spełniona. Jest księżniczką nie w bajce, ale na prawdę! Wurm, hrabianka, Buchenau — upokorzeni! O! jak jeszcze upokorzeni! Byle czemprędzej nadeszła chwila, w której będą musieli hołd jej złożyć! A ona będzie na nich spoglądała tak dumnie, tak dumnie że spojrzeniem do ziemi ich ugnie, przytłoczy. Księżna! Ach! prawda — — prawda — — tylko morganatyczna żona! Ale to tylko zadatek przyszłej wielkości, to tylko pierwszy stopień do tronu. O! na tronie zasiąść, z koroną, czy mitrą książęcą! „Ja będę królową“ — brzmi jej arya w duszy i schlebia jej i łudzi i nęci. „Gdy będę królową“ — wciąż tętni w jej myślach, w jej krwi, w szpiku kości, ogarnia ją, unosi we mgłach marzeń tak lubych, tak słodkich!

Ubrana w powłóczystą, jasną, jedwabną suknię, rozsiadła się na otomanie, rozparła. Pół leżąc, patrzy w zwierciadło, naprzeciw niej stojące i mierzy siłę swych wdzięków i układa je, gra nimi, a pyta się zwierciadła, czy nimi zdobędzie koronę. A zwierciadło pochlebia, dogaduje, potakuje i mówi: „piękna jesteś, jak samo piękno, powabna i ponętna, jak rozkosz; by się tobą nasycić warto nie koronę oddać, lecz życie“.

Czeka na niego. Ma przybyć, powinien przybyć, bo obiecał. A! więcej niż obietnica, bo żądza go tu przywiedzie. Ona wie o tem dobrze, na to liczy, z tego płyną jej marzenia. Jasne niebo szczęścia rozpięło się teraz nad jej życiem. Byle nie padł grom jaki? Ale teraz jej i gromy nie dosięgną, bo jest księżną! księżną!

A, czy zegarek mi się popsuł? Już dość późno, a jego nie ma. Patrzy jeszcze w zwierciadło i jeszcze się radzi, pyta. Aha! na szyję założy łańcuch z medalionem, podarunek Ferdynanda. Dzwoni. Wchodzi Rózia.

— Podaj mi szkatułę.

Rózia przyniosła — ale blada, niespokojna. Klara roztwiera puzderka, szuka, łańcucha nie ma.

— Gdzie łańcuch do medalionu?

— Nie wiem, proszę jaśnie pani. Zapewne w szkatułce. Przywiozłam ją tak, jak stała w buduarze.

— Kłamiesz! złodziejko! ukradłaś! nie ma łańcucha.

Klara zerwała się z otomany i falą słów zalewa służącą. W tej chwili nie była księżną, choćby z bajki, ale sobą samą, prostaczką, pospolitą prostaczką. Nie umiała się opanować, rozważyć, zastanowić, rzeczy zbadać spokojnie, jeno wybuchami łajań karczemnych obsypywała Rózię. Nie dziw: brakło jej nietylko cnoty i uczciwości, ale i... wychowania.

Gdyby ją w takiej chwili mógł zobaczyć Ferdynand! Pewnieby uleciało mu ze krwi całe dla niej zaślepienie.

— Ukradłaś! oddaj! — wołała Klara.

— Skoro pani sądzi, że jestem złodziejką, proszę o uwolnienie ze służby.

— Uwolnię cię ze służby, ale oddam do więzienia.

Rózia chciała się wytłumaczyć, wyznać prawdę, opowiedzieć o Ludwiku, ale jej Klara mówić nie dozwoliła.

W tej chwili rozsunęły się portyery i we drzwiach ukazał się Ludwik, uśmiechnięty szydersko.

— Niech się pani księżna dobrodziejka uspokoi. To świecidełko może sobie pani u mnie wykupić, bo je wziąłem na zastaw, dla zabezpieczenia różnych pretensyj, które...

— Precz stąd — krzyknęła Klara. Co za bezczelność! Kto tu wpuścił tego łotra?

Rózia struchlała na widok brata i z przerażenia uciekła.

Ludwik nie przeraził się krzykiem, nie cofnął, lecz wszedł do pokoju. Ubrany był w najmodniejsze suknie, w których jeszcze potworniej niezgrabnym się wydawał. Na wszystkich palcach sygnety z różnorodnymi kamieniami, u kamizelki gruby łańcuch od zegarka, w ręku gładziutki cylinder połyskujący i laska z ogromną srebrną gałką, a na nosie cwiker w złotej oprawie. Karykatura prawdziwa!

— Znowu się unosisz koleżanko — a przepraszam cię luba, chciałem powiedzieć: pani księżno dobrodziejko. Po cóż te gniewy?

To rzekłszy, położył cylinder i laskę na stoliku, a przysuwając sobie fotelik, wskazał Klarze miejsce na innym i mówił dalej.

— Pani pozwoli, proszę, będzie nam wygodniej. No, siadajże koleżanko.

Klara nie mogła już słowa wymówić z oburzenia i z obawy, żeby w tej chwili książę tu nie przybył. Chciała czemprędzej pozbyć się natręta i sięgła ręką do dzwonka. Ludwik chwycił ją za rękę i rzekł groźnie, stanowczo:

— Chcesz się zgubić kobieto. Czy wiesz, co to będzie, jeżeli zadzwonisz? Wtedy głośno wrzasnę, żeś... No, dajno spokój i bądź roztropna. Tak, o — teraz już chyba nie zechcesz dzwonić. Przepraszam cię, że tak poufale przemawiam. Ot, my pokrewne dusze, to nam tem łatwiej się zrozumieć. Tak Klaruńciu! Możesz i mnie Ludwiczkiem nazywać. To ci nie zaszkodzi, bo gdyby tak kiedyś książę miał cię już po uszy, jak to niegdyś Buchenau, to jabym ci ofiarował moje serce. Ha! ha! co? dobrze? Możesz Klaruńciu na mnie liczyć.

Klara straciła świadomość tego, co się koło niej dzieje. Dopiero jasne niebo rozpinało się nad jej życiem, aż tu spadł grom taki. Bezczelność i zuchwalstwo bezgraniczne Ludwika, działały na nią, jakby jakiś prąd ubezwładniający. Jej się zdawało, że śni, że to zmora straszna ją dręczy, walczy z sobą, z odrętwieniem, przeciera oczy, rozgląda się, uznaje groźną rzeczywistość i ogarnia ją wściekłość zranionej tygrysicy.

— Dość tego nędzniku! krzyknęła Klara, zrywając się. Precz z tąd, za drzwi!

— Ej, po cóż to te deklamacye? Wszakże to nie na scenie.

— Czegoż ty chcesz łotrze?

— O, bez komplimentów, to zbyteczne. Czego chcę? A wiesz przecie mości pani księżno dobrodziejko, że mi się należą dobra Adlersfeld. To mi zapisać musisz.

— Nigdy!

— Ha, to ja trafię do księcia i powiem mu, jak to było z baletnicą Elwirą.

— Takiemu łotrowi nie uwierzy. Rózia! Rózia!

Weszła pokojowa.

— Życzę sobie, abyś tu była. Jakim sposobem ten człowiek mógł się tu wcisnąć? Zapewne ty mu pomogłaś i zdradziłaś moje mieszkanie. Niegodziwa!

— Szanowna i czcigodna księżno dobrodziejko, raczysz się łaskawie mylić, bo jak wziąłem łańcuch, bez pomocy Rózi, tak i drogę do tego gniazdeczka bez jej pomocy znalazłem.

— Oddaj łańcuch skradziony i precz.

— Wpierw załatwimy rachunki.

— Dość tego. Zamordowałeś moją ciotkę, zrabowałeś dziesięć tysięcy marek, wyłudziłeś odemnie dom, w którym ciotka mieszkała, to chyba już dosyć.

Rózia stretwiała, usłyszawszy z ust Klary, że Ludwik dopuścił się morderstwa.

— Ej, wcale nie dosyć, bo najpierw o tem morderstwie, to widzisz moja mościa pani, nie śmiesz tak mówić, skoro władza zamknęła za nie do ula barona Adlersfelda. A co do zabrania owych marek, to tego także nie widziałaś, a ów dom, to dla mojej matki, za jej wierne służby dla biednej zamordowanej. A dla mnie co zostanie za przysługę? Hę? co? No widzisz pani księżno, że mi się coś należy.

— Przyjdź jutro; teraz oczekuję księcia.

— Jutro? E, nie ma głupich. Znam się na tem. Jutro by może czekał tam gdzie za drzewem jaki niepotrzebny opiekun, coby mnie odrazu wyprawił tam, dokąd mi jeszcze nie pilno. Nie, nie. Musimy teraz załatwić sprawę.

— Ludwik, zlituj się — prosiła Rózia, załamując ręce, uchodź czemprędzej, bo jak cię tu książe zastanie, może cię dotknąć nieszczęście.

— Ho! ho! nie bójno się. Nie będzie tak źle. Owszem, będzie mi bardzo przyjemnie przedstawić się książęcej mości, jako dawny przyjaciel księżnej dobrodziejki.

— Róziu, wyjdź i spoglądaj, czy książę nie jedzie. Gdy księcia zobaczysz, daj mi znać.

Rózia wyszła, a Klara cofnęła się szybko ku ścianie i chwyciła rewolwer.

— Teraz precz łotrze! Ruszaj natychmiast, albo trupem tu padniesz. Powiem księciu, żeś mnie napadł, żeś mnie chciał zabić i obrabować i że w obronie życia musiałam cię zastrzelić.

— Uhu! Takbyś to chciała pozbyć się mnie ze świata. Ej mościa pani, na nic ci się to nie zda, bo są też inni, co sprawę odkryją, gdybyś mnie zabiła.

— Precz! bo strzelę — rzekła cicho, syczącο.

W tej chwili rozsunęły się portyery i książę wszedł do pokoju.

Klara zachwiała się na nogach. Przed oczyma stanęła jej cała groza tej chwili. Jeżeli Ludwik opowie wszystko? a jeżeli mu książę uwierzy?

Ale i Ludwik osłupiał. Na dwoje babka wróżyła. Może zgubić Klarę, ale Klara może zgubić jego. A nuż książe nie uwierzy w to, co opowie, a uwierzy temu, co Klara zezna o morderstwie Izabelli? Nie wiedział, co z sobą począć.

Za plecami księcia dawała Rózia błagalne znaki Ludwikowi, aby nic nie mówił, aby Klary nie zdradził.



Teraz precz łotrze! Ruszaj natychmiast, albo natychmiast trupem tu padniesz!...

Książę wpatrywał się zdumiony w dziwacznego, a wstrętnego gościa Klary.

— Co to za człowiek? — zapytał książę.

— To... to brat mojej służącej. Przyszedł ją odwiedzić, a mnie się właśnie przedstawił.

— Ależ takich ludzi nie przyjmuje się w buduarze — rzekł książę z niesmakiem.

— Miałem też sprawę z jaśnie panią, chciałem się rozmówić — odezwał się Ludwik.

— Znasz mnie? — zapytał książę niecierpliwie.

— O! jażebym też nie miał znać waszej książęcej mości. Przecież to niby nie jestem lada kto, więc miałem sposobność...

— Zdaje mi się, żeś cokolwiek zuchwały. Marsz za drzwi. Tam sobie pozostań ze siostrą, a tu nie ma dla ciebie miejsca.

Książę wskazał mu ręką drzwi, ale Ludwik nie ruszył się z miejsca, jeno spojrzawszy z wściekłością na Klarę, odezwał się spokojnie.

— Proszę waszej książęcej mości o krótkie posłuchanie, abym wyjaśnił, dlaczego tu przyszedłem. Miałem oto załatwić sprawę bardzo ważną z jaśnie panią i właśnie w najważniejszym toku układów, raczyłeś nam przerwać rozmowę mość książę.

Następca tronu osłupiał na widok takiego zuchwalstwa.

— Ależ to szaleniec! — zawołał — co to wszystko znaczy?

Klara nabrała otuchy, a widząc, że Ferdynand radby czemprędzej pozbyć się natręta, zawołała z oburzeniem:

— Bezczelny włóczęga! chciał odemnie wyłudzić pieniądze. Ośmielił się miotać mi w oczy groźbami! Nie mogę się pozbyć tego nikczemnika.

Ludwik uśmiechnął się zjadliwie, spojrzał wilczym wzrokiem na Klarę i odezwał się spokojnie:

— Taka sprawa? e, to ja zacznę z innej beczki.

Potem zwrócił się ku księciu i rzekł ponuro, groźnie:

— Waszej książęcej mości chcę coś ważnego powiedzieć. Czy mi książę uwierzy, czy nie, to dla mnie obojętne, ale powiedzieć muszę. Nie jestem ja natrętnym żebrakiem, ani też nie chciałem tu wyłudzać pieniędzy, jeno przyszedłem załatwić sprawę po dawnej znajomości...

— Za drzwi! — krzyknęła Klara, pełna zaciekłej złości i lęku.

— Zaraz, tylko skończę. Myśmy z jaśnie panią byli razem w teatrze, wtedy, gdy to hrabia Buchenau był jeszcze kochankiem jaśnie pani. Hrabiemu spodobała się potem baletnica Elwira. Wasza książęca mość może sobie przypomni jej historyę. Znaleziono jej ciało w zagłębieniu pod sceną. Ktoś ją tam pchnął tak, że się zabiła. Ja stałem za kulisami wtedy i widziałem.

— Nikczemny kłamco, morderco, rabusiu! milcz — wrzeszczała Klara, tracąc przytomność.

— A któż kiedy widział, żem kogo zamordował, albo zrabował — ale ja za to widziałem kogoś, co Elwirę wepchnął w przepaść; znam zabójczynię baletnicy.

— Milcz! Milcz! zbrodniarzu! Wyrzućcie go, zamknijcie do więzienia. To morderca — wołała Klara.

— Zabójczynią Elwiry, jest oto ta pani, jaśnie wielmożna pani. Tak, tak, widziałem własnemi oczyma.

Książę przysłuchiwał się temu z osłupieniem, wreszcie ocknął się, i blady, drżący z uniesienia rzucał z oczu płomieniem i krzyknął, ale mówić nie mógł, słowa mu się kłębiły w ustach. Porwał za szpadę, lecz oprzytomniał, opanował się i grzmiącym głosem zawołał Łukasza.

Gdy Łukasz wszedł, książę kazał Ludwika wyrzucić za drzwi. Ludwik nie spodziewał się takiego zakończenia sprawy, więc jakby porażony taką niespodzianką, nawet się nie opierał Łukaszowi.

W pokoju został tylko Ferdynand z Klarą. Straszna to była dla niej chwila. Czuła przepaść pod sobą, ziemia się jej zapadała pod nogami. Drżała, a skupiała przytomność z największym wysiłkiem, żeby się bronić, usprawiedliwić, zwyciężyć. Licząc na ślepą namiętność księcia, dodawała sobie otuchy, że przełamie wszelkie podejrzenie, że książe nie da wiary opowiadaniom Ludwika.

Ferdynand biegał po buduarze wzburzony; zatrzymywał się, chciał coś przemówić, to znowu dławił w ustach cisnące się słowa. Rzucał się, miotał jak lew w klatce. Zazdrość wbiła mu szpony w serce, w ambicyę — a bezgraniczna słabość dla Klary spędzała ją. Walka była zawzięta. Wreszcie stanął przed Klarą i krzyknął:

— Mów prawdę! wyznaj wszystko!

— Nie, nie; powiedzieć nic nie mogę, bo to wszystko oszczerstwo — zawołała Klara ze łzami.

— Ależ ten człowiek nie mógł sobie wymyśleć tego wszystkiego! Byłby się nie odważył. Skądżeby?

— Boże cudowny! — wołała Klara, zanosząc się od płaczu — a więc taki włóczęga, jakiś zbrodniarz, więcej u ciebie znaczy, niż ja, którą przed ołtarzem poślubiłeś? O! Boże mój! Boże!

(Ciąg dalszy nastąpi).



Z wojny ros.-jap.: Jenerał Stössel zwiedza późną nocą straże rozstawione na fortach w Porcie Artura.

Z wojny rosyjsko-japońskiej.

Jenerał Stoessel zwiedza późną nocą straże rozstawione na fortach w Porcie Artura. Port Artura nie przestaje interesować czytelników swym losem. Jest on jak ta skośna wieża we Włoszech, zbudowana tak, iż się zdaje, że lada chwila upadnie, a stoi setki lat. I Port Artura miał już od dawna upaść, a tymczasem już blisko rok od wybuchu wojny, a on się jeszcze trzyma. Jednego dnia czytamy: upadnie lada dzień, a drugiego: utrzyma się jeszcze kilka miesięcy.

Zaprzeczyć się nie da, iż duża zasługa tej wytrzy[illegible] pada na jenerała Stoessla. Dla[illegible] ją go zgodnie wszyscy bohaterem z Portu Artura. Rycina przedstawia nam go właśnie przy pracy t. j. zwiedzaniu straży.

Już późna noc, mroźna, śnieżysta. Drobne płatki białe lecą z nieba bez przerwy, jak gdyby chciały zasypać i świat i port nieszczęsny. Zasypują i świeże ślady krwi i trupy poległych i zdruzgotane działa i poszarpaną ziemię. Śnieżny pokrowiec zasłania przed okiem wędrowca całą grozę potwornych zapasów.

I forty portarturskie pokrywa miękka opona śniegu. Tylko w podziemnych fortach wre praca, a na ścieżkach koło rowów widać świeże ślady. To Stoessel, bohaterski jenerał straconej placówki, idzie zwiedzać okopy, sprawdzić, czy żołnierze czuwają, czy armaty sprawne, czy obrona wytrzyma jeszcze ten dzień, ten tydzień. Potem przybędzie odsiecz, na którą się czeka tak długo, tak bez końca...

Obok Stoessla postępuje jenerał Kondratenko, ranny w ostatniej utarczce a dziś już zabity. Z ręką na temblaku, towarzyszy swemu komendantowi i zwraca jego uwagę na braki w obwarowaniach i na potrzebę nowych naprawek i nasypów. W głębi fortu, dobrze już nadwerężonego strzałami armat japońskich, siedzą żołnierze na ziemi. Jeden z nich, który właśnie dojrzał nadchodzących jenerałów, wstaje na równe nogi i wyprężając się jak struna, zdaje raport.

Na sztucznem wzniesieniu patrzą żołnierze przez polne lornetki, inni obsługują armaty, gotowe na przyjęcie niestrudzonego wroga.

Korespondenci wojenni przyglądają się pagórkowi 203 m. opuszczonemu przez wojska rosyjskie. O tym pagórku 203 m. wiedzą nie tylko czytelnicy gazet, świerkają o nim już i wróble na dachach.

Wzięty, nie wzięty; znowu wzięty, ale odbity; podobno nie odbity, wreszcie potwierdza się, że wzięty, zaś nie potwierdza się, że odbity. Straty japońskie miały w tym punkcie być bardzo ciężkie. Gdy skośnoocy bohaterowie przystąpili do ataku na to wzgórze, leżące na północno-zachodnim froncie Portu Artura, wykonali jednocześnie zaciekłe ataki na forty wschodnie.

Były to walki najstraszniejsze i najkrwawsze ze wszystkich dotychczasowych walk o Port Artura.

Rycina nasza przedstawia już tylko gruzy fortecy.

Całe wielkie szmaty ziemi powyrywane, nasypy zniszczone, z murów, palisad i ścian kamiennych zostały kupy gruzów. Tylko garstka koresponden-



Z wojny ros.-jap.: Straż rosyjska odprowadza Chunchuzów schwytanych na rabunku na miejsce rozstrzelania.



Z wojny ros.-jap.: Kupcy chińscy uciekający do Mukdenu po wybuchu wojny.

tów wojennych z aparatami fotograficznymi przypatruje się miejscu, gdzie szalał orkan wojenny.

A trwała ta bitwa od południa 26 listopada aż do rana następnego dnia bez przerwy. Było to prawdziwe piekło granatów, a ich ślady, widoczne na naszem zdjęciu fotograficznem, wyryły się głęboko na stokach wzgórza. Niby głębokie rany, widoczne nawet z daleka. Całe pole poryte nieregularnemi bruzdami. Atak rozpoczął się wcześnie rano gwałtownem bombardowaniem fortów. Całemi godzinami zasypywano całą linię granatami. Około południa tworzyły forty linii wewnętrznej prawdziwe piekło pękających granatów. Obraz ten przewyższył wszystko, co dotychczas zdziałano w Porcie Artura. Przez zasłonę z dymu i pasy pękających granatów, widziano wydobywających się z rowów fortecznych Japończyków, dążących kunastu naraz miejscach ku górze, na której teraz widzimy sprawozdawców wojennych, podczas gdy nieprzyjaciel zasypywał ich gradem kul karabinowych i armatnich z dział szybkostrzelnych i maszynowych. Gdzie teraz kupy gruzów, padali ludzie setkami.

Wały i obwałowania czerniły się od masy atakujących, którzy gdy dostali się na dziś poszarpany szczyt pagórka, padali całymi szeregami, zmiatani przez straszny ogień z wnętrza fortów. Na wałach sąsiednich pękały granaty rosyjskie, zwiększając plon śmierci. Lecz i żniwo było obfite. Japończycy dostali pagórek 203 m. w swe ręce.

Msza polowa, odprawiana przez popa rosyjskiego w obozie rosyjskim w Mandżuryi. Religijność w „świętej Rosyi“ jest wielka. Wszystko „z Bogiem“ i z błogosławieństwem cara. Od początku wojny słychać też bardzo wiele o całym szeregu tych błogosławieństw. Car błogosławi co krok, w portach okręty, w koszarach załogę, na mustrze pułki, na kolejach wagony i odjeżdżających. Pierwszą rzeczą, którą się ofiarowuje odjeżdżającemu jenerałowi lub admirałowi, jest święty Ikon czyli obraz; żołnierze otrzymują medaliki i obrazki poświęcane. Może też i ta wiara trzyma ich jeszcze jako tako na świecie, pozwala z rezygnacyą przymierać z głodu i iść, boli czy nie boli, na bagnety z Japończykami. Na rycinie widzimy mszę polową, odprawianą w obozie rosyjskim w Mandżuryi.

Prosty stół obozowy nakryto liturgicznym obrusem i ustawiono na nim księgi święte. Pop, przybrany w szaty cerkiewne i w suto haftowaną kapę, trzyma krzyż w ręku i czyta modlitwę. Do obsługi mszalnej użyto żołnierzy. Oto na pierwszym planie stoi właśnie jeden z nich z kadzielnicą w ręku. Cała rota z odkrytemi głowami przysłuchuje się modlitwie popa.

Nie można odmówić powagi i uroczystego nastroju całej tej ceremonii religijnej w obozie. Długie włosy popa, spadające na ramiona i patryarchalna broda, spadająca na piersi, czynią na tych szorstkich naturach żołnierskich głębokie wrażenie. Prości żołnierze swobodnie zgromadzeni ustawili się za popem. Zaś naprzeciw niego stanął korpus oficerski. Wszystko z odkrytemi głowami zdaje się równie nabożnie uczestniczyć w mszy polowej, jak i prości żołnierze. Między nimi widać i siwowłosych starców. A wokoło namioty żołnierskie, okopy i wały, z których co chwila wystrzela w górę biała kula dymu, niosąca wrogom śmiertelne pociski.

Ta religijność rosyjskiego ludu, z którego się rekrutują owe armie mandżurskie, jest znana. Dość też o niej naopowiadali nam pisarze rosyjscy. Post Rosyanina, to częstokroć post na śmierć — a ileż to razy idzie z tym postem w parze i głód. Gdyby nie ta religia, cóżby się stało z karnością rosyjskiego żołnierza? Szkoda tylko, że ta cała karność obraża codziennie tysiącami trupów piąte przykazanie Mojżeszowe: Nie zabijaj!

Badanie szpiega japońskiego na kwaterze rosyjskiej. Jedną z najpotężniejszych dźwigni wszelkiego powodzenia wojennego, oraz niejednego zwycięstwa jest dobrze zorganizowana służba wywiadowcza, do której też należy i szpiegostwo.

W tej służbie wywiadowczej są Japończycy mistrzami. A podejmują się jej wszyscy, od prostego żołnierza począwszy do jenerała.

Ileż to razy słyszymy o sztabowcach japońskich, rozstrzelanych za podkładanie bomb pod most na rzece, lub oskarżonych o złośliwe uszkodzenie okrętu.

Rycina przedstawia kwaterę rosyjską: prosty stół, łóżko nakryte kocem żołnierskim, na gwoździu szaszka. Przy stole siedzi esauła i prowadzi indagacye. Obok korespondent gazety rosyjskiej.

Oskarżony o szpiegostwo Japończyk, przybrany w szynel, stoi na środku izby rozbrojony i zwyczajem japońskim przemyśliwa nad tem, jakby indagującego esaułę wprowadzić w błąd. W kącie porzucono siodła ze strzemionami, które Japończyk, przebrany za woźnicę, wiózł na wozie.

O oporze niema mowy — tam za uchylonemi drzwiami stoi warta — jeden rozkaz esauły a kilku żołnierzy rosyjskich wpadnie do izby i zwiąże śmiałka. To też on o niczem innem już nie myśli, jak tylko o tem, by siebie i swoich nie zdradzić; myśli o tem, żeby to nieszczęśliwe złapanie się nie wyszło wielkiej ojczyźnie japońskiej na złe. O nią się zresztą nie boi. Tu, w tym obozie rosyjskim, koło którego go przychwycono, znajduje się niejeden jeszcze szpieg japoński. Czego on nie dokonał, tego dokonają inni. Łzy mu się tylko rzu-



Z wojny ros.-jap.: Korespondenci wojenni przyglądają się pagórkowi 203 m. opuszczonemu przez wojska rosyjskie.



Z wojny ros.-jap.: Przeładowywanie węgla z okrętu transportowego na pancernik na środku morza pod Vigo w Hiszpanii.

cają do oczu na myśl, że tam na jego ukochanej wyspie została jego najdroższa małżonka, a przy niej synek maleńki. Gdy ojca nie stanie, gdy rozstrzelają — kto im przyniesie chleba, kto powiąże jego sieci, któremi zarabiał jako rybak? I stoi tak przed esaułą-moskalem, który mu wydrzeć chciał ziemię i zamienić w niewolnika i pięść tylko zaciska, a z duszy mu się wyrywa jak grzmot ryczące i jak salwa głośne: banzaj ojczyźnie!

Kupcy chińscy uciekający do Mukdenu po wybuchu wojny. Nie dla każdego jest wojna groźną. I wielu robi na wojnie dobry interes. Moskal, choć chatą Chińczyka, taką małą fanzą, zapali sobie w piecu — to jednak spali jedną. Pali on wprawdzie fanzy, lecz te, co są na drodze, a te, co z drogi, zostawia, bo są za daleko. Więc komu fanza zostanie, ten się może cieszyć, ten także zrobił na wojnie interes. Co prawda niewielki.

Ci, co robią wielkie, siedzą spokojnie w wielkiem mieście, w jakimś Pekinie, Tienlinie, Mukdenie — tam mają dobrze rentujące się kamienice, tam siedzą spokojni lub jeżdżą za dostawami w asystencyi wojskowej, bezpieczni, pewni zarobku, poręczonego kontraktem i weseli. Na naszej rycinie mamy taką wesołą gromadkę.

Uciekają do Mukdenu, lecz uciekają z uśmiechem na ustach. Co mieli, dobrze sprzedali, syci, z pełną sakwą jadą do stolicy, by z grosza żyć i groszem obracać.

Wszystko czoła wysokie, co prawda trochę i łyse, mądre, przebiegłe gęby i chytre oczy. Najpoważniejszy z nich to jeszcze ten z pierwszego okna. Pewnie młody poeta lub filozof. Ten drugi z twarzy bardzo na skąpca patrzy, a z ruchów na sybarytę. Gniotła go listwa od okna, więc sobie podłożył pod łokcie koc mięsisty i gruby i tak wygodnie rozparty rozgląda się w krajobrazie, licząc go zapewne na yeny. Trzeci to jakiś poczciwy ojciec rodziny z jakiejś mandżurskiej mieściny, głupkowaty i leniwy, oburącz podpierający swój korpus na listwach i futrynach wagonu.

A reszta uśmiechnięta, okutana w ciepłe kaftany chińskie, giestykuluje żywo, a nawet przymila się zalotnie. Stoją na stacyi, wylegli do okien, naokół jak na wszystkich stacyach mandżurskich pełno żołnierzy — jest się czemu przyglądać, jest co wyszydzać i złośliwymi obdarzać epitetami, z których „europejskie dyabły“ jest jeszcze najgrzeczniejszy. Ci się białego niebezpieczeństwa nie boją. Wiedzą, że najbielszem niebezpieczeństwem jest pusta kieszeń.

Straż rosyjska odprowadza Chunchuzów schwytanych na rabunku na miejsce rozstrzelania. Chunchuz to imię nielada. To postrach cichej wioski, to bicz boży dla śpiocha w szynelu, to kamień obrazy wszelkiej jednotorowej kolei żelaznej w Mandżuryi. Czegóż to nie dokazywały ich bandy?

Niczem nasi Lisowczycy pamiętni i głośni ze swych zuchwałych napadów. Dali się zwłaszcza we znaki pułkom kolejowym rosyjskim. Co te postawią w dzień, ci zburzą w nocy. Wyłamać próg kolejowego toru, wystrzelać maszynistów, obrabować pociąg — to dla nich gratka nielada. Ale jak ich złapią to rozstrzelają albo powieszą. Nasza rycina przedstawia dwóch Chunchuzów, schwytanych na rabunku. Przyszła koza do woza.

Idą otoczeni konwojem żołnierzy rosyjskich, powiązani, spętani, dziś już nikomu nie groźni. Bezpiecznie mogą ich sobie pokazywać dzieci, spokojnie im się przypatrywać mogą kobiety i starcy chińscy.



Z wojny ros.-jap.: Badanie szpiega japońskiego na kwaterze rosyjskiej.

A co za wstrętne, obce i potworne oblicza! Kościste twarze, wyuzdane miny; okrucieństwo wyrafinowane i zwierzęca rozpusta wyryta na ich twarzach. Zda się, że od tygrysów chytrzejsi, podstępniejsi od lisów, od wilków drapieżniejsi. A jednak przecież i na ich twarzach nie zamarły ludzkie uczucia.

Smutny orszak, lecz się pociesz zlękniony Chunchuzie — będą o tobie kiedyś nad Sza i nad Liao śpiewać dzieci żałobne piosenki. I twoje życie nie poszło na marne, jeśliś pomagał wielkiej azyatyckiej wojnie.

Przeładowywanie węgla z okrętu transportowego na pancernik. Dziś słyszy się wiele o podróżach eskadr rosyjskich, o węglu, bez którego eskadra jest niczem, o portach w których wolno węgla nabierać i o neutralnych, do których nie wolno wstępować. Obrazek pod tym samym tytułem przynosi czytelnikowi przykład takiego ładowania węgla. Pancernik z flagą wojenną w kształcie krzyża wypotrzebował cały swój zapas węgla! Bez dalszego zaopatrzenia nie zrobi ani kroku. Właśnie się odbywa takie zaopatrzenie.

Okręty oba są ze sobą sprzężone, by w razie jakiegoś wypadku lub wiatru, albo rozkołysania fal nie odbiegły od siebie i nie zniweczyły komunikacyi. Górą przeprowadzono na podobieństwo drutów telegraficznych szereg lin, po których biegną saneczki z węglem.



Z wojny ros.-jap.: Msza polowa odprawiona przez popa rosyjskiego w obozie rosyjskim w Mandżuryi.

LUEGER W KOŁOMYI.

Opowieść wesoła, zaczerpnięta ze stosunków galicyjskich

przez

Grzegorza Smólskiego.

6 (Ciąg dalszy).

V.

Między żydami panowało ogromne zaniepokojenie z powodu zapowiedzianego przyjazdu dr. Luegera do Kołomyi. Utworzono osobny żydowski komitet bezpieczeństwa pod przewodnictwem Jojny, w którym Silberfisch i Prymchower głównymi byli działaczami, a do którego należeli także Krikalis i dr. Tałkes. Komitet uchwalił wyprawić Luegerowi kocią muzykę z wybiciem szyb w oknach.

Silberfisch i Prymchower rozłożyli się taborem na dworcu kolejowym, gdzie oczekiwali przybycia rabina dr. Flocha i zarazem czatowali na Luegera. Z przyjazdem rabina coś się poplątało. Miał on podług zapowiedzi przybyć dziś przed południem. Komitet kahalny z muzyką i wynajętą banderyą huculów stawił się w oznaczonym czasie na dworcu. tłum żydów wylegnął na jego przyjęcie, uroczyste, lecz wielki rabin nie przyjechał. Herszt antysemitów gotów go wyprzedzić. więc trzeba było czuwać.

Wieczornym pociągiem także nie przybył. Natomiast przyjechał jakiś obcy jegomość, który zwrócił uwagę żydowskich delegatów w najwyższym stopniu na siebie. Wyglądał bardzo dziwnie. Mimo gorącego dnia majowego otulił się hawelokiem, a na dobitek podniósł jeszcze kołnierz do góry, trzymając go ręką pod szyją. Głowę miał przewiązaną czarną chustką jedwabną tak, iż twarzy było mało co widać. Rzeczy kazał znieść sobie do restauracyi i usiadł przy stole w kącie twarzą do ściany. Widać było po całem jego zachowaniu się, że jest zmieszany i unika wzroku ludzkiego, jak gdyby się ukrywał.

Wszedł do sali restauracyjnej Namentowski. Widząc Silberfischa i Prymchowera siedzących przy piwie, zbliżył się do nich.

— Rebe nie przyjechał – zagadnął ich głosem szyderczym – może go w drodze spotkało nieszczęście.

— Pan Bóg strzeże – odpowiada Prymchower – tak świętego męża.

Silberfisch zwraca uwagę Namentowskiego na podejrzanego obcego.

— *Wun sze* — powiada – ukrywa *czegosz*. Co to może *bicz* za jeden?

Namentowski zbliżył się do stołu, przy którym obcy siedział i zaczął mu się przyglądać nieznacznie. co tenże spostrzegłszy, odwrócił się jeszcze bardziej ku ścianie i wsparł się na obydwie ręce, by twarz zakryć zupełnie.

Gdy Namentowski wrócił do żydów, powiada im:

– Jeszcze jak się ukrywa. Nie bez powodu jednak.

— Może go pan zna? – pytają go skwapliwie obydwaj na raz.

— Osobiście nie, lecz z fotografii bardzo dobrze.

– Kto to?

— Każcie stawić butelczynę *vöslauera*, to wam powiem. inaczej *niszdu*!...

— Może pan pozwoli piwka - mówi Silberfisch – *raretne piwko*.

— Powinniście zapłacić szampana... Opłaci się wam.

— Może to Lueger? – pyta się blednąc z przerażenia Prymhower.

— Nie wiem... bez *vöslauera* nic nie wiem.

Rozciekawieni żydzi zamawiają wino, a gdy płyn znajdywał się w kieliszkach rzecze Namentowski uroczystym głosem:

— Rzeczywiście Lueger w własnej osobie.

Żydzi struchleli trzęsąc się ze strachu.

– Może pan żartuje — powiada Silberfisch.

– Z taką osobą jak Lueger nie ma żartów — odpowiada Namentowski.

Obcy siedział przy kawie przeszło godzinę opuszczając restauracyę dopiero, gdy się na dworze dobrze ściemniło. Potem kazał się zawieść do „hotelu angielskiego“.

— Żydzi podążyli za nim. W hotelu dowiedzą się najlepiej, gość musi się przecież zameldować.

Silberfisch udaje się wprost do gospodarza. Chce widzieć kartkę meldunkową, potwierdzenie, czarne na białem. Przywołany kelner powiada jednak, że gość „meldunku“ nie podpisał, bo go ręka boli. Jutro podpisze.

— O wa — powiada właściciel hotelu — u nas niema wymówek. meldunek musi być podpisany w *siej czas*.

Udaje się sam do gościa, by rzecz załatwić.

Tymczasem zjawia się Simche Goldstückel, wielce zaniepokojony. Wieść o niebezpiecznym obcym dotarła błyskawicznie i do jego uszu. Pyta Silberfischa, Prymchowera, lecz ci zdrajcę kahału zbywają tylko półsłówkami.

Gospodarz bawi dość długo u gościa. Nareszcie wychodzi z kartką meldunkową w ręku. Żydzi trawieni niepokojem rzucają się na niego. Obcy zameldował się. lecz zachodzą ważne okoliczności, dla których gospodarz nie może im jeszcze wyjawić jego nazwiska.

Prymchower woła drżącym głosem:

– Lueger!

Gospodarz uśmiecha się na to znacząco i odchodzi do jadalni. Uśmiech. oczywiście potwierdzenie.

— *Sy du dyr grojsse paskidnyk* Lueger — odzywa się Silberfisch — to nie jest już *żadne tajemnice* – poczem zwracając się w stronę pokoju, zajętego przez obcego zaczyna miotać *„chajrem“*:

— A z das Chałas sołst dü bekimen!
Das Chojle Nöjfel sołst dü kriegn!
dü sołst nie derleiben inter der Chipe z'gajn!
dü sołst arimgajn... in grojsse Cures!
Man soł dir zojchn ałe Zäjhn und brechejn!
Sei... ferszołten!

Silberfisch i Prymchower udają się następnie do Jojny z wieścią hiobową. Goldstückel stoi osłupiały w sieni. Nadchodzi kelner.

— Panie Simche — pyta się — nie widzieliście Herszka, naszego faktora. Obcy gość potrzebuje go pilnie.

Słowa te uprzytomniły Goldstückla. Dał kelnerowi koronę, by miast Herszka, zaprowadził jego jako faktora hotelowego do obcego. Przypadkiem nadarzyła mu się sposobność zbliżyć się do niebezpiecznego wroga, podpatrywać i śledzić go z pewnego ukrycia. a to może posiadać wartość nadzwyczajną.

Staje przed obcym jako faktor. Ten patrząc mu bystro w oczy pyta się go:

– Jesteś żydem prawowiernym?

— Dlaczego nie mam być. Ojciec mój, dziad, cała *famelie* nasza pobożna.

— Słuchaj więc. Będziesz miał dobry zarobek, lecz o tem, co ja będę mówił do ciebie, jakie dawać ci będę zlecenia. wogóle o tem, co się dziać będzie między nami. nie śmiesz nikomu mówić ani słówka.

— Po co miałbym mówić.

— Sza — cicho — jak kamień.

— Będę milczał jak kamień.

— *Aufne munes?*

— *Aufne munes.*

— Wobec mnie to przysięga.

— Czemu nie mam przysiądz.

— Masz 20 koron za swe usługi. Na odjezdnem dostaniesz jeszcze 20.

Po chwili dodał zniżonym głosem:

— Są pewne powody, dla których muszę przez krótki czas zachować incognito.

— *Wus ist das?*

— Nie chcę narazie, żeby wiedziano kim jestem... rozumiesz?... Potrzebuję zupełnego ubioru żydowskiego.

Dobył kartkę z kieszeni i czytał:

— *A bekesze, spodek, sztramel, tałes, tefilem, cices*, białe pończochy i *sziach*.

— Pończochy białe i *sziach* noszą u nas tylko rabini.

— Co mam ci wiele tłumaczyć, potrzebuję tego wszystkiego i basta.

— Chce przebrać się za rabina — pomyślał sobie Goldstückel.

— Potrzebuję tego wszystkiego jak najprędzej. W Stanisławowie nie mogłem dostać.

— *Woni* nie mają, ale u nas jest wszystko gotowe. Wezmę tylko miarę.

— Ale — ale — zapomniałem powiedzieć, że potrzeba mi także pejsów. takiego samego koloru jak włosy moje. Przypatrz się dobrze — co mówiąc odwiązał dużą czarną chustkę jedwabną, w którą prawie cała głowa była przysłoniętą.

Goldstückel ujrzał, że głowę miał zdrowiuteneczką, niepotrzebującą żadnego zaopatrzenia.

— Pejsy kupują u nas — zauważył — tylko na maszkaradę albo na *purimbal* – gotowych nie ma na składzie — musiałby zrobić fryzyer.

— Więc zamów u fryzyera. Tylko wszystko jak najprędzej, zapłacę dobrze.

— Tamto gotowe. więc będzie jutro rano, lecz fryzyer...

— Niech się spieszy... idź jeszcze dziś do niego.

— Godzina już dziesiąta, *wun* już śpi.

— Więc jutro jaknajraniej.

Goldstückel nie wątpił też wcale, że to Lueger, który chce się przebrać za żyda, by się tym sposobem wcisnąć do kahału. poznać i zbadać żydowską organizacyę wyborczą i tem łatwiej pobić lud Izraela. Gdyby Lueger bojował tylko przeciw kahałowi. byłoby mu to owszem bardzo na rękę, lecz wiedeński herszt antysemitów zwalczać będzie w równej mierze kandydaturę rabina Flocha i dr. Turteltauba.

Co począć? Na razie sprytny żyd nie miał odpowiedzi, tak zmięszał mu wszystkie szyki nagły przyjazd Luegera do Kołomyi. Otuchy jednak nie tracił. Znając siebie, wiedział, że później wpadnie mu do głowy myśl zbawienna.

VI.

Goldstückel przemyśliwał, iż o mało mu głowa nie pękła. Z Luegerem atoli rady sobie dać nie mógł. Postanowił dziś jeszcze zobaczyć się z Niesamowitym, który zna się na antysemityzmie. Kupiono go, więc niechaj radzi.

Nie zastał go w domu. U Korpacza nie było go także. Dopiero w szynku Izraela Sommergrüna przydybał go w towarzystwie Namentowskiego i Przekrasy przy „okocimskiem“. Namentowski, podochocony, spostrzegłszy Goldstückla zawojał;

— A pan Simche! witam cię cny obywatelu!... Będzie wam wszystkim *kapures... der grojsse* wojewoda *wun dy antysemitniken sy du*.

Przekrasa uderzył na poczekaniu w struny lutni.

Rzecz nie słychana — Lueger tu
Wnet żydowinom zabraknie tchu.
Z nim nie przelewki, dalibóg nie
Rycerz to wielki. gdzie machnie, tnie.

— Niech sobie macha — odgryza się Goldstückel — co *wun* mnie obchodzi.

— *Sza bücher, wann der Ruf sprecht*! — prawi Namentowski. Powiem coś mądrego. Słuchaj pan. panie Simche. w tych czasach dobrze mieć przyjaciół między antysemitnikami lecz, by ich przyjaźń posiąść, trzeba fundować. Nuże dzban „okocimskiego“.

— Co bim ja miał pić piwo o północy — odpiera Goldstückel. a zwracając się do szynkarza rzecze: *„Gibże mir a kieliszek bromfen and a teler czipkełe mit bojnes.*

— Oj, da wam Lueger bojnes! — wtrąca Namentowski.

Przekrasa zaczyna śpiewać:

Masełtof, masełtof
Chysyn mit dy kałe
Porębie was wszystkich
Lueger w kawały

Goldstückel znosił uszczypliwe przycinki cierpliwie czychając na sposobność pomówienia z Niesamowitym w cztery oczy. Dopiero, gdy Sommergrün zamknął szynk i towarzystwo rozeszło do domu — kawiarnia amerykańska była już także zamknięta — dopadł go Goldstückel przed redakcyą „Kukułki Pokuckiej“.

— Nu, co teraz będzie — zagadnął go.

— Z czem?

— Z tym wielki paskidnyk Lueger... Pan teraz należysz do nas. pan musi teraz *pokazowacz*, co pan *wi*.

— Daję słowo honoru, że nie spodziewałem się jego przyjazdu. *„Kukułka“* groziła Luegerem tylko tak sobie.

— Kukułka *zakukał w złe godzine. Djabeł* nie trzeba *malowacz* na *szczani*. Ja już pana nie winuję, bo to sze na nic nie przyda. Musimy go *pilnowacz* na każdym kroku, gdzie *sze* tylko *ruszi*, bo bardzo niebezpieczny *chamer*. My musimy wiedziecz wszystko, co *wun* robi, co *wun miszli*. Dr. Turteltaub nakazał, żebi pan go nie odstępował, *żebi* pan jechał z nim do Oleksińce.

— Bez fraka — wtrąca Niesamowity, trudno iść do tak wielkiej ryby.

— Nu, to ubierz *sze* pan we frak, ci ja bronię.

— Ubierz się!... trzeba mieć frak wprzódy.

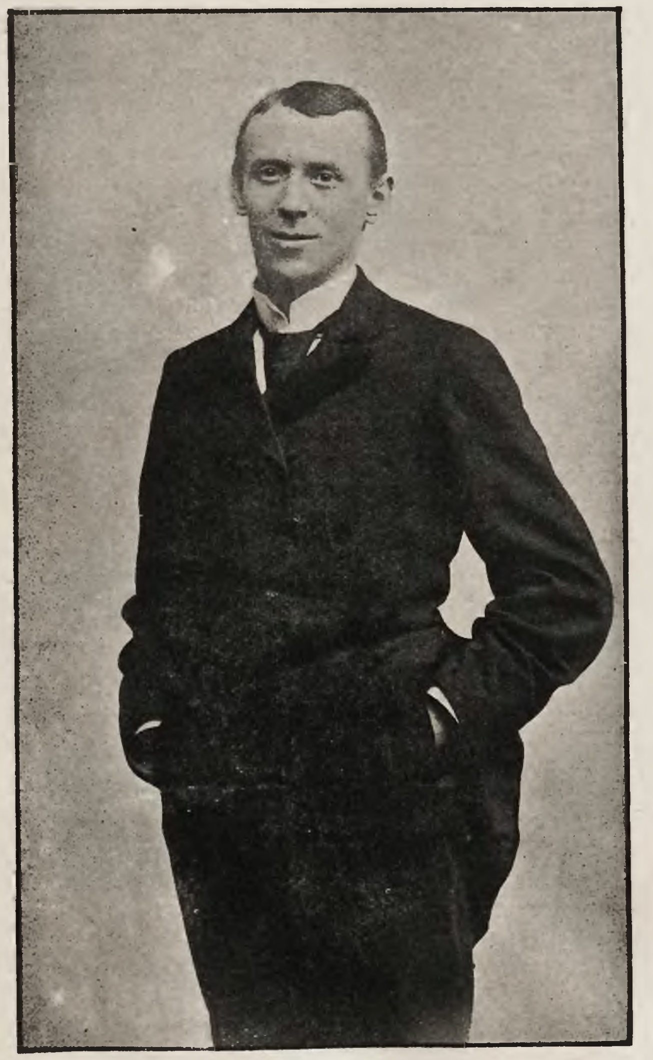
— To niech pan sobie kupi.

— Nie mam pieniędzy, wszystko poszło na Jojnę.

– Można pożyczyć od kelnera za parę szóstek.

— W takim fraku wyrzuciłby mnie Lueger za drzwi.

C. d. n.



Ludwik Solski.

Migawki teatralne.

Scena polska długo będzie musiała czekać, aby pojawił się na niej drugi taki artysta, jak Ludwik Solski, aby zabłysnął na niej drugi taki talent, co niby brylant, mieni się tysiącem barw najrozmaitszych.

Solski, liczący dziś przeszło czterdziestkę a dwadzieścia lat już obracający się na scenie, pierwsze kroki stawiał w teatrze krakowskim i przeszedłszy tu krótki nowicyat sztuki dramatycznej, wzorem innych swoich kolegów ruszył w szeroki świat z prowincyonalną trupą Trapszy.

Z kolei, w niedługi czas i nie na długo użyczyła mu gościny trupa Wójcickiego i Kremskiego, poczem znów przygarnął go Trapszo, aż wreszcie odbywszy ostatnią włóczęgę pod dowództwem Puchniewskiego, osiadł na stałe w Poznaniu, gdzie Podwyszyński dzierżył ster teatralnych rządów.

Jednak stały jego pobyt w Poznaniu był bardzo krótki. W rok później bowiem widzimy go już na scenie krakowskiej, pracującego pod okiem Stanisława Koźmiana.

Od tej chwili siedmnaście lat bez przerwy pozostawał w krakowskim teatrze, którego był chlubą i ozdobą. Dyrektorowie zmieniali się: Koźmian ustąpił miejsca Gliksonowi, Glikson Pawlikowskiemu, a Pawlikowski Kotarbińskiej — Solski zmieniał ale tylko role, zdobywając sobie coraz obszerniejszy repertuar i coraz większe znaczenie, tak wśród prasy, jak i wśród publiczności.

Gdy jednak Pawlikowski objął teatr lwowski, pan Ludwik, któremu babskie rządy na scenie krakowskiej stanęły kością w gardle, z żalem porzucił ukochane przez się miasto i wyemigrował do Lwowa, gdzie go przyjęto z otwartemi rękoma.

Tu wspaniały, wszechstronny talent Solskiego na tle dobranego zespołu dramatycznego, zabłysnął w jeszcze wspanialszych barwach i to nietylko sceniczny talent, ale także zdolności reżyserskie. Na nowem stanowisku, w obcem sobie mieście, jakie niepośledni artysta i pełen poczucia piękna reżyser, dzień w dzień zdobywa on sobie nowe dowody uznania, nową sławę — podczas gdy my, Krakowianie, z dumą co prawda spoglądając na wzrost sławy wychowanka naszej sceny, musimy opłakiwać stratę jego i boleć nad upadkiem tej jego wychowawczyni, która jak ongiś była niedoścignioną w kierunku dodatnim, tak dziś jest niedoścignioną, ale tylko pod względem ujemnym...

Solskiego słusznie nazywają kameleonem sztuki dramatycznej. Talent jego, jak skóra kameleona zmienia co chwila swe barwy, mieni się tysiącem różnych odbłysków. Ściśle określonego zakresu ról nie posiada ten artysta — przeciwnie, w każdej niemal sztuce bierze on rolę. nie mającą nic a nic wspólnego z poprzedniemi jego kreacyami i to w podziw wprowadza publiczność, w podziw tym większy, że z każdej roli Solski tworzy arcydzieło, że wprost sam przeżywa na scenie te chwile, które autor każe przeżyć danej postaci. Solski, to nie zimny wykonawca, który oblicza jedynie efekty swojej roli, ale artysta z gorącą duszą i wrażliwem sercem, wkładający w każdą kreacyę całą swą indywidualność, dający nam nie maski ludzkie, ale ludzi żywych z krwi i kości... To jest cechą talentu Solskiego.

I takiego artysty pozbył się Kraków! Gdyby kto chciał dosadniej skrytykować rządy Kotarbińskiej, to nie potrzebuje nic więcej powiedzieć, jak tylko:

— Wygnała Solskiego!...

* * *

Mało jest kobiet w teatrze — tak hojnie od natury pod każdym względem wyposażonych, jak Natalia Siennicka. Prześlicznie zbudowana, wzrostu smukłego, brunetka o czarnych namiętnych oczach, obdarzona melodyjnym szlachetnym głosem: jest wymarzonym typem scenicznym. Modernizm wyrył swe piętno w tej postaci. Natura na wskróś nerwowa, o wyrazistych rysach twarzy, ma w swoich ruchach, w całem wzięciu coś eterycznego, ulotnego, że mimowoli przychodzą na myśl słowa poety... „masz taką postać, jakbyś się chciała do aniołów dostać!“... Anioł — to może nie dość trafne określenie istoty artystki — Siennicka to demon urody i namiętności w szlachetniejszem słowa pojęciu. Namiętnością jej sztuka, nałogiem teatr, aczkolwiek i inne więcej ziemskie uczucia nie są obce tej „córce wieku“.

Siennicka pochodzi z teatralnej rodziny. W młodym wieku, jako pensyonarka zapałała dwoma równocześnie miłościami. Miłością do sztuki i do pewnego młodzieńca, który również poświęcił się zawodowi scenicznemu. Wbrew woli rodziców, poślubiła Natalia „pięknego Julka“ — jak wówczas wszyscy zwali p. Czyżkowskiego — dzisiejszego męża pani Siennickiej.

Siennicka wstąpiła tedy na scenę. Jej wydział obejmował bogaty zakres ról salonowych, rezonerskich i kokietek w wielkim stylu, w którym zwłaszcza celowała.

Uroda, wytworność manier, przepyszna dykcya — niezmierny smak w ubieraniu się i charakteryzowaniu — oto cenne zalety, dzięki którym zabłysła jako pierwszorzędna gwiazda na horyzoncie polskiej sztuki. Siennicka była angażowana na wszystkich polskich scenach. Zna ją równie dobrze Kraków i Lwów, jak Poznań i Warszawa.

Niezbadane są jednak losów wyroki. Siennicka nie znalazła szczęścia i zadowolenia ani na scenie, ani w małżeństwie. Wielki talent artystki i wielkie serce kobiety, poszło na niebezpieczne manowce. Czczona i wielbiona przez publiczność, pożądana przez każdą dyrekcyę, dawała się zbyt łatwo uwodzić chwilowym himerom i kaprysom. Dziś w młodym stosunkowo wieku — artystka nie liczy dziś więcej nad 35 lat — zniechęcona, zgorzkniała usunęła się na zawsze od sceny i życia i w Warszawie w zaciszu domowem oddała się niepodzielnie trudom i troskom wychowania jedynaka, którego nad życie kocha - kształci go i czuwa, by w dziecku nie ozwała się dziedziczność i pociąg do sceny.

Szkoda dla polskiego teatru tej wielkiej artystki!...

Z TYGODNIA

Dzisiejszą moją kronikę rozpocznę
Jakie prezenta miał świat noworoczne
I jak potrafił podarunków użyć.
By Czytelnika więc bardzo nie znużyć
Zaczniem od tego, co dostał nasz Kraków:
Oprócz zamarzłych rynsztoków, kloaków
Z których tak słynął piękny nasz gród ongi,
Zamarzły także jego wodociągi,
Chroniąc upusty swoich wód zazdrośnie;
I może puszczą dopiero — o wiośnie.
W dniu zaś tak ważnym kościelnego święta
Mamy chorobę pana prezydenta,



Natalia Siennicka.

Który w tyfusie, jak wieść krąży głucha,
Ledwie nie oddał Bogu swego ducha,
Bo los — to stary okrutny — szyderca
Jak zwykłych ludzi — burmistrzów uśmierca

Austrya dostała podarunek rzadki
Pan Körber swoje pakuje manatki
I robi miejsce imć panu Gautschowi —
Po starych ludziach następują nowi.
Choć Gautsch, że tem się posłużymy słowem,
Nie jest zjawiskiem ciekawem lub nowem,
Był już na miejscu ministra Körbera,
Dziś stanowisko zaś zajął premiera.

Obdarowany jest Węgrów parlament
Z dnia na dzień wzmaga się chaos i zamęt
A cierpliwości miejmy tylko nieco —
Wkrótce fotele i pulty polecą.
Dla potwierdzenia tej odwiecznej prawdy,
Że Węgier w boju dzielny zuch jest zawdy.

Fakt, że społeczne życie się wyrodni
I uświęcone dawniej miejsca zbrodni —
Z murów Wiśnicza jak i kryminału
W gmachy się szkolne przenoszą pomału.
I oto słyszym i czytamy codzień
Że zapalony małoletni zbrodzień
Broń samobójczą przyniósł z sobą skrycie,
Zuchwałą ręką targnął się na życie
I wtedy głośne padają z ust gromy,
Choć przyczyn złego mało kto świadomy,
(Bo rzucać gromy ludziom najwygodniej) —
Że pokolenie młode się wyrodni,
Że nie uznają i nie widzą tamy,
Jaką dla dobra ludzkości stwarzamy
My — ludzie starsi, ludzie doświadczeni,
Z których się każdy szanuje i ceni...
Niech piorunują, niechaj głupstwa plotą
Trudno się gniewać albo wadzić o to!...
Choć ci „moralni“ — powiedzieć aż zgroza
Sami są warci kata i powroza.
Inne są źródła smutne a jedyne
Co sprowadzają na młodzież ruinę,
Że jej potępiać nie ma nawet za co:
To przeciążenie nauką i pracą,
Brak utrzymania i brak odpoczynku,
A przedewszystkiem zgubne wpływy szynku!
Wam przewodnikom błądzącej młodzieży
O jej fizyczne zdrowie dbać należy;
Gdy się fizycznie poprawi w tym względzie
To **moralnego** zdrowia też nabędzie!

Kącik humorystyczny.

Nieszczęście.

Jakiś pan przechodzi koło kościoła, przed którym stoją tłumy ludzi. Zaintrygowany tem zbiegowiskiem, zwraca się do pierwszego lepszego przechodnia z zapytaniem:

— Przepraszam pana, czy też tu się nie stało przypadkiem jakie nieszczęście?

— Tak — wzdycha smutnie przechodzień — właśnie dopiero co znów dwoje ślub wzięło!..

Bronisław Hubermann.

Z wartkim prądem umysłowości dzisiejszej doby toczą się i sprawy życia muzycznego, zabierając na swe spienione fale marne łupiny tych egzystencyj ludzkich, które przyszedłszy zaczerpnąć u fal tych nieco ożywczej podniety dla swych uczuć i potrzeb duchowych w tym kierunku — zbyt blisko zbliżają się do wszystko unoszącego na barkach swych prądu. Wiele marnych łupinek owych, tłukąc się po przejrzystych, lecz groźnych falach tej — szerokim korytem płynącej — rzeki, natrafiwszy na skałę szyderczej krytyki lub dostawszy się w wir sprzecznych a niezdecydowanych dążeń, spocząć musi na dnie; lecz są i takie, które znalazłszy w falach tych podnietę do rozszerzania skromnych ścian swej łupiny, zmieniają je na coraz to większe statki i szybując wśród raf, skał, przylądków, wirów bezpiecznie i z całą swobodą — pewni wytrzymałości i odporności swego pancerza, przed którym wygładzają się wiry — miękną czyhające zdradliwe skały, płaszczą się i znikają rafy; a zwykli śmiertelnicy przyglądają się im w niemym zachwycie, słuchając z natężeniem i z rosnącą w duszy jutrzenką, dźwięków i pieśni, jakiemi ich darzą pływający na statkach onych, rycerze świętego Graala...

Patrzą i podziwiają, a podziw ich tem większy, jeśli rycerzem tym drobna szczupła dziecina, wypowiadająca się w sposób noszący piętno artyzmu... w sposób mistrzowski.

Kiedy w roku 1892 kazano grać na skrzypeczce wobec mistrza Joachima dziewięcioletniemu chłopczynie — zdumiał się sędziwy mistrz śmiałością wzięcia się malca, czystością tonu, zacięciem w grze, a szczególniej tem czemś, co go najżywiej chwyciło za serce — rzewnością poetyczną i głębią — zaletami, które odczuć i ocenić umie i może tylko wielka artystyczna dusza. Chłopięciem tym był Bronisław Hubermann (ur. 14 grudnia 1882 w Częstochowie). Przywieźli go z pod Warszawy rodzice do najznakomitszego naonczas pedagoga i wyroczni w kwestyach gry skrzypcowej dotyczących...

„Mir ist kaum im Leben ein so früh entwickeltes musikalisches Genie vorgekommen" były słowa mistrza, a los chłopięcia zdecydowany...

I poszło chłopię ze skrzypeczką w dłoni w świat... najpierw po naukę, po wiedzę a potem po laury.. Pierwszym celem podróży był Berlin, gdzie zachwycony chłopakiem Joachim, zabrał się szczerze do pracy nad rozwijającym się i mężniejącym z dniem



Bronisław Hubermann.

każdym talentem. U Joachima pozostawał niedługo, bo już po półtrzeciarocznej nauce rozpoczął karyerę koncertanta.

Pierwszym etapem młodego wirtuoza był Wiedeń. Tu zdobywa wstępnym bojem rozkapryszoną i na punkcie muzyki wymagającą publiczność, a przedewszystkiem otrzymuje rzadką nagrodę, bo z rąk monarchy wspaniałe skrzypce. Rozentuzyazmowani Wiedeńczycy nazywają Hubermanna Wundermannem. „Der kleine Wundermann", tak nazywano Bronisia. Młodym wirtuozem zajmuje się szczerzej hr. Zamojski, od którego otrzymuje Hubermann prawdziwy skarb... bo prawdziwego Stradivariusa.

W dobre ręce dostał się cenny instrument, brzmiąc odtąd pełnym, wielkim i mięsistym tonem, wstrząsającym sercami czuć i odczuwać umiejącemi i wywołując zdumienie na twarzach snobów podziwiających zewnętrzne objawy mistrzostwa i wirtuozeryi — karkołomną technikę, szaloną brawurę i obok typowego polskiego *esprit*, pełną dystynkcyi elegancyę w wykonaniu. — Występującego na estradach malca zasypywano wieńcami, kwiatami, słodyczami — muzycy patrzali z podziwem.

W r. 1895 wyjeżdża Hubermann do Ameryki, gdzie tournée odbyte w ciągu dwu lat — było szeregiem hołdów, składanych przez prasę i tryumfami wobec rozszalałej z entuzyazmu publiczności.

Spostrzegli się jednak rodzice, że oprócz muzyki są i inne rzeczy potrzebne w życiu, artysty. Wycofują Bronisia z obranej karyery i pakują do... szkoły.

Najgorzej w świecie... Skończyłyż się piękne dnie Aranjuezu?

Nie.

Uzdolniony nietylko muzycznie Broniś, robi również szalone postępy w naukach, studyuje literaturę, klasyków, zdobywa wiedzę, lecz nie zapomina w nawale pracy o swej skrzypeczce — o swym Stradiwaryusie — doskonali się w sztuce swej dalej pod okiem Joachima i innych mistrzów, czujących się raczej przyjaciółmi i doradcami, niż jego nauczycielami.

Po krótkim odpoczynku – wstępuje Hubermann na nowo w szeregi koncertujących artystów – nie jako cudowne dziecię — lecz jako dojrzały już artysta, zbrojny i strojny nietylko w talent – lecz także wiedzę, doświadczenie i wszystko to, co wzmocniona systematycznie zdobywaną teoryą — praktyka dać artyście może... i daje.

Odtąd domem artysty... muzykalny świat cały — zwykłą zapłatą... oprócz złota niekłamane i szczere zachwyty, uznania i hołdy... życiem... sztuka...

Cóż więcej trzeba...

Niepodobna wyliczyć liczby jego tryumfów i miejsc, gdzie je zdobywał. Berlin, Paryż, Rzym, Warszawa, Wiedeń, Londyn i naodwrót Londyn, Wiedeń, Warszawa, Paryż itd. itd. w tym i innym sposobie. Niepodobna, choć ciśnie mi się pod pióro, zregestrować najwyższych odznaczeń, choćby takich, jak wyjątkowe pozwolenie dotknięcia i zagrania na instrumencie skrzypka nad skrzypkami – czarodziejami — słowem... Paganiniego, audyencya u Ojca świętego, uznania królów i t. d.

Wszystko opowiedziałbym... wszystko, lecz srogi redaktor skąpi mi miejsca... A niech go...

Wielkiego artystę, który zajrzał i do nas na chwilę, wypadałoby przywitać serdecznie słowy:

Śpiewak wita w nasze strony
Niechże będzie pochwalony...

ZBYSZKO Z BOGDAŃCA.

NARZECZONA KŁUSOWNIKA.

Nowela z życia ludu wiejskiego.

(Ciąg dalszy)

2

Stary wieśniak przyjaźnie spoglądał na parobczaka.

— Wiadomo Jaśku, żeś ty w całej wsi najśwarniejszy!...

Pogórny pokazał w uśmiechu białe równe zęby i podkręcił z fantazyą małego płowego wąsa.

— Wiadomo — rzekł chełpliwie — ale też za to wasza Hania będzie miała dobrego męża! Za tego rogacza wezmę ładne grosze i kupię jej znów sznur korali! Niech wie, że Pogórnemu nikt nie dorówna!...

Marcin poklepał go poufale po ramieniu.

— Już to ty zadać coś musiałeś dziewusze! Cały dzień ino mówi o tobie, cały dzień ogląda się, czy gdzie nie idziesz. Ja to Bogiem a prawdą powiedziawszy, nie bardzom ci był rad z początku, ale teraz tom cię jak rodzonego polubił!...

Jasiek schylił się, objął starego za kolana.

— Daj wam Bóg zdrowie ojcze! — rzekł poważnie — już i ja wam sercem zapłacę za serce! A teraz ostańcie zdrowi. Niech sobie tam pan leśniczy goni po borze za Wujkiem, a ja muszę dziś jeszcze rogacza przeszwarcować do Szmula.

I uścisnąwszy dłoń Marcina, parobczak szybkim krokiem ruszył w stronę lasu. Lecz prawie w tej samej chwili, jakby przypomniawszy sobie coś jeszcze, przystanął i podszedł znów do starego wieśniaka.

— Słuchajta-no Marcinie! — rzekł z gniewem, spoglądając na starca błyszczącemi swemi oczyma — słuchajta-no! Gadają ludzie, że ponoś nasz pan pełnomocnik Giorczak często do naszej chałupy zachodzi. A no! nie wiem ja, jaką to spółkę taki aśnie wielmożny może mieć z chłopem, bo zwykle chłopa do dworu wołają! Nie wiem, jaką on ma z wami spółkę, ale to wiem, że on nie dla was, ino dla Hani do chłopskiej chaty zachodzi i to wam powiem Marcinie: wybierzcie między nami dwoma! powiedzcie: „ja, albo on", bo inaczej jemu kości połamię, a i waszych siwych włosów nie uszanuję!...

Marcin spokojnie spoglądał na młodego parobczaka, który stał przed nim z rozdętemi nozdrzami podobny do jastrzębia, co lada chwila ma rzucić się na upatrzoną ofiarę.

— Mówisz Jaśku, żebym nie puścił do chaty pana Giorczaka? O! to już za wiele żądasz mój chłopcze!... Wiesz przecie, że nasz pan siedzi tam sobie gdzieś we Francyi, a tu pan Giorczak co chce jeno, to robić może! Ja go tam gniewać nie myślę, bo drogi mi ten kawałek chleba, co mi daje służba dworska, a niechbym mu tylko się skrzywił, takby mi zaraz powiedział: fora ze dwora chamuniu!...

— Więc wy nie chcecie wyrzucić go za drzwi z chałupy? — rzekł dziko Pogórny — dobrze! ja sam więc pokażę mu, kędy to droga od przełazu do dworu!...

I to rzekłszy, młody parobczak uścisnął serdecznie dłoń starego Marcina, poczem szybkim krokiem puścił się ku wiosce, która wśród cieniów drzew bieliła się tuż prawie za pastwiskiem.

Pogórny szedł szybko, ale nawet ruch nie uspokoił jego podrażnienia.

Kroczył z zaciśniętemi kurczowo pięściami i mruczał półgłosem.

— Ho! ho! panie Giorczak nie bój-ta się! już my się obaj porachujemy ze sobą i to lepiej, niż te dwa żydy na jarmarku! A rachunków to mamy chyba dosyć. Któż to uwagę leśniczego zwrócił na mnie? Kto to gdzie może, tam psy na mnie wiesza? Kto to ze mnie chciałby zrobić zbója i złodzieja?! I za co? dlaczego?! Żeby mnie wsadzili do kryminału, a żebyś wtedy ty łajdaku mógł się znęcać nad Hanką i siłą zmusić ją do kochania? Ale niedoczekanie twoje ty zbóju! Bliższy tobie kryminał, niż mnie, bo ja uczciwie pracuję, a ty? ty kradniesz nas, kradniesz pana, a ja wiem o wszystkiem i nieraz cię już przyłapałem na gorącem!...

I byłby Pogórny zapewne dalej monologował w ten sposób, gdyby nie to, że minął już całą wioskę i stanął przed małą odosobnioną chałupką, przytykającą prawie do zabudowań dworskich, w których mieściły się stajnie i obory.

W tej małej chatce mieszkał stary Marcin z swą jedynaczką Hanią, najpiękniejszą dziewczyną z całej wioski.

Pogórny, zobaczywszy tę chatkę, w której mieszkała jego ukochana, uśmiechnął się wesoło. Gniew, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki znikł z jego twarzy, a radość wykwitła na jego miejsce.

Oczy błysnęły mu wesoło. Cichaczem, jak złodziej a podkradł się pod chatę i ostrożnie stanął przed odchylonemi nieco drzwiami.

Drzwi te prowadziły wprost do izby, w której młoda, czarnobrewa, a smukła, jak topolka dziewczyna krzątała się przy piecu, rozmawiając sama ze sobą.

— Już ci go ze trzy dni nie było. Wyglądam go, wyglądam i tęsknię za nim i widziećbym go już chciała, a on, jakby o mnie nawet nie myślał, jakbym mu obca była, nie pokazuje się wcale!... Wyglądam oknem, na przełaz wieczorem wychodzę, czekam i czekam, a wszystko po próżnicy, wszystko darmo! Ej Jaśku! Jaśku moje ty ukochanie! Milszy ci las i strzelba, jak kochająca dziewczyna! Milsze ci gonienie kędyś po chaszczach, niż moje usta, coby cię dzień i noc chciały całować!

I Hania z gniewem tupnęła drobną nóżką o ziemię.

— I kiedyż ty przyjdziesz kochanie moje? Kiedy?!

(C. d. n.)

PO SYLWESTRZE.

(Humoreska).

Staszek Miliński, urzędnik bankowy, pojął za żonę osiemnastoletnią, śliczną Jadwisię, córkę pedantycznego pana Porządnickiego, wychowaną jak kwiatuszek w cieplarni. Małżeństwo to było szczęśliwe; młodzi żyli jak w obiecanym raju, pełnym woni wiosennej... Jedno tylko stracił Staszek — swobodę pohulanki i pobawienia się z kolegami przy bombce u Hawełki! Miłość żony nagradzała mu wprawdzie sowicie ten brak męskiej rozrywki. — Staszek tęsknił jednakże! Rwało go do tego wesołego kółka towarzyszy młodości; a jakże mu było opuścić żoneczkę, która mogłaby umrzeć z tęsknoty i samotności?

Aż przecie na Sylwestra przyszedł pan małżonek z twarzą zasmuconą i oświadczył żoneczce, że na wyraźne życzenie dyrektora banku, wszyscy urzędnicy muszą się dziś wieczorem stawić na kawalerskiej składkowej kolacyi.

— Nie podobna się narażać dyrektorowi — zauważył Stach — a Jadwisia westchnęła bliska płaczu.

— Ale wrócisz wcześnie? — zapytała.

— To się rozumie! najpóźniej o jedenastej.

— Zaczekam na ciebie, bo i tak nie usnęłabym sama.

— Pa! słodka żonusiu!

— Pa! Stasieczku! A pamiętaj, że czekam.

Staszek odszedł, a pani Jadwiga usiadła na kołyszącym się fotelu i wzięła jakąś dawno już przeczytaną książkę do ręki.

Ziewała biedaczka, drzemała, zrywała się chwilami do okna popatrzyć w puste, śniegiem ubielone ulice – aż wreszcie z wieży Maryackiego kościoła wybiła jedenasta i rozległ się czterokrotny hejnał.

— Chwała Bogu! Stasineczek za jaką minutkę wpadnie — pomyślała i zasiadła znów w fotelu.

Ale Stasineczek nie wpadał jakoś... Wskazówka zegara na konsolce posunęła się na kwadrans, na pół, na trzykwadranse wreszcie — nic!... Cicho! głucho!

Pani krew do głowy uderzyła z oburzenia!

— Co to za tyrania — zrzędziła — ze strony takiego pana dyrektora. wbrew woli, męża zabierać go od żony, dla jakiegoś tam kaprysu Sylwestrowego! fe!..

Bam! bam! bam! — Macie! dwunasta! a ja tu sama! Bo Zośka tam śpi w kuchni jak zabita; nie słyszałaby nawet, gdybym ją wołała na pomoc!

Przebiegła po pokoju tam i napowrót.

— Boże mój! Boże! a przyrzekł mi, że wróci o jedenastej! Czy mu się tylko nie przydarzyło co złego? Może zachorował nagle? Jezu Jezu! albo go jacy złodzieje opadli — po nocy — wszystko możliwe!..

Siadła na nowo przy stole i czytała nie wiedząc co... Litery skakały jej przed oczyma. Wreszcie główka opadła na złożone na książce rączki — zasnęło biedactwo.

Bam! bam!.. Ha! zrywa się!.. Co to?... Lampa się pali — dokoła cisza grobowa!.. Co to wybiło?.. Rany boskie!.. Trzecia!..

— Co ja tu pocznę nieszczęśliwa?... Coś mu się tam musiało stać!.. Przecież nie mogę teraz iść go szukać w ciemną noc...

Rzuciła się na rozebrane łóżko i gorżko zapłakała.

Nakoniec wybiła szósta. Po ulicy zaczęły się ruszać wozy piekarskie, karyolki z piwem od Rippera, jakiś zawcześniony czy zapóźniony jegomość gwizdał przeraźliwie walca z Gasparone, a nawet odezwało się basowe hasło: Ueńńńglee! A tu nic!.. Ach!.. idzie!.. Nie!.. Nie!.. to Zośka przyszła palić w piecu.

Ależ tak... ktoś idzie po schodach... Hop! buch w drzwi!.. Co to?... Drzwi się otworzyły — stanął w nich Staszek... Palto narzucone na ramiona, zamiast cylindra, w którym wyszedł z domu, jakaś czapka barania... krawat rozwiązany...

Blady — zachwiał się na nogach!..

— Stachu! — skoczyła podtrzymując go — co ci się stało?...

Ale Stach nie odpowiadał... Mruknął coś wytreszczywszy na chwilkę oczy, instynktownie doczołgał się do żoninego łóżka i jak stał, w zabłoconem ubraniu runął w bieluchną pościel!..

— Staszek! bój się Boga! przemów co!

— Chrrr!..

— Niedobrze ci? zasłabłeś — Stachu!

Daremnie nim trzęsła!..

— Chrrr!.. zachrapał – i to wszystko!..

Przykryła go kołdrą.

— Coby mu tu dać? Laurowych kropli na cukier?. Ale skąd wziąć o tej porze?

Załamała ręce.

— Zośka! leć po doktora! pan zachorował!

— Jezus Marya!.. po którego doktora, proszę pani?

— Czy ja wiem?... Po którego chcesz, ale prędko, bój się Boga!

— Tu, proszę pani, w drugiej kamienicy sprowadził się wczoraj doktor. Czytałam na drzwiach, bo chodziłam tam do Marysi od pani konsylarzowej na kabałę.

— Lećże co duchu!

— A co mam powiedzieć, proszę pani?

– Powiedz, że pan Stanisław Miliński, no wiesz przecie! urzędnik bankowy bardzo ciężko zachorował, żeby pan doktor natychmiast przyszedł! Biegnij!

Zośka pognała w chustce na głowie — a pan Stanisław rozchrapał się jak trąba jerychońska!

— Strach, jak chrapie! Musi mieć gorączkę niezawodnie!..

Zośka wraca. — Cóż doktor?

— Nie chciał iść, proszę pani... ale mu powiedziałem, że pani prosi koniecznie! Przyjdzie, mówił — jak wstanie. Ależ te tam u nich elegancko — no!

— — Cicho już! idź do kuchni, bo się chory przebudzi!..

Za godzinę wszedł doktor. Starszy poważny jegomość, jak to zwykle bywa, Wypytał się pani o wszystko i dowiedział się, że mąż wyszedł wczoraj na koleżeńską ucztę wezwany przez tego tyrana jakiegoś dyrektora — który postępuje z urzędnikami bez miłosierdzia, jak satrapa moskiewski!

Doktór spojrzał na chrapiącego pana Stanisława, mruknął tylko: „Aha“! – i pocieszył strapioną panią domu, że to choroba przemijająca...

— Nie trzeba go tylko budzić — dodał, aż póki sam nie wstanie. A prócz tego ja mu zapiszę lekarstwo, to mu pomoże najniezawodniej.

Siadł do biurka — napisał receptę; co do honoraryum — powiedział, że drugim razem.

* * *

Za parę godzin chory się obudził. Przetarł oczy – żoneczka nie ruszyła się od łóżka pilnując go.

— Był doktór, Stasieczku, i zapisał ci lekarstwo.

— Na co mi lekarstwa? Było mi trochę niedobrze, ale teraz...

– Zobaczmy przecie.

Wstała – wzięła receptę z biurka. Co to?

„Radzę memu pacyentowi, ażeby nawet na Sylwestra nie zostawiał swojej ślicznej żonusi w domu samej — a jeżeli mu się już chce pohulać, to niech nie składa winy na swego, Bogu ducha winnego dyrektora. Dra Lickiego“.

— Matko boska! to był mój dyrektor! A pocóż wy go tu sprowadziliście do mnie?

— Zośka powiedziała, że na tablicy napisane było „doktór“!...

— No doktór – ale praw!...

. . . .

Tableau!... Trochę wstydu, trochę łez — gniew skrucha, przeprosiny i t. d. jak zwykle!

Mężowie — bierzcie jednak naukę!

Pablo.

Zagadki do nagrody.

Rebus.



Szarada.

Ułożył W. K.

Po *pierwszej-piątej* miła pogadanka —
I nikt mi z pewnością tego nie zaprzeczy,
Że *pierwsza-druga* lepsza, niżby szklanka
Cieniutkiego piwa, co język kaleczy...
Trzecia-druga czasem dużo zrobić może...
N. p. w *pierwsze-czwarte,* lub innym kolorze...
Wszyscy: to bardzo milutkie stworzenia;
Lubią tam bywać, gdzie i do jedzenia
I do napitku: zawsze pełna czara...
A jedzą *piąte-trzecie*... i każdy się stara:
Zakochanego... grywać *czwarte-trzecie;*
Więc podobają się każdej kobiecie!...

Arytmogryf.

Ułożył W. K.

	13	3	**14**	16	4	
		5	14	**1**		
	20	14	7	6	**17**	
20	11	**15**	16	**4**	18	12
	8	4	**5**	17	15	
11	4	**10**	20	**15**	2	4
	4	6	5	12	**17**	
		11	9	**4**		
	6	18	**12**	19	4	

Liczby w powyższej figurze zastąpić literami w ten sposób, aby poziome rzędy utworzyły następujące znaczenie:

1. Orszak.
2. Przymiotnik.
3. Miasto na Polesiu.
4. Postać z „Pana Tadeusza“.
5. Osoba z tragedyi „Makbet“.
6. Kardynał włoski.
7. Poeta polski.
8. Matka Romulusa.
9. Część ciała.

Gdy rozwiązanie jest trafne, to miejsca, oznaczone tłustemi cyframi dadzą imię i nazwisko autorki polskiej.

Jako nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy powieść: **„Rodzeństwo“,** powieść Huga Bertscha.

Rozwiązania z Nru 13.

Rebus: Siła czasu wszystko kończy, nic przed nią się nie ostoi.
Arytmogryf: Salomea Kruszelnicka.
Szarady: Lokomotywa, Europa.
Logogryf: Joanna D'Arc. – Orzeszkowa – Nad Niemnem.
Zadanie konikowe: Bywaj mi zdrowy
Kraju kochany
Już w mglistej nikniesz powłoce,
Świsnęły wiatry, szumią bałwany,
I morskie ptactwo świegoce.

Dobre rozwiązanie nadesłali pp.: Arbesbauer, Witoszyński, Cetera, Władysław i Janina Jagiełłowiczowa, Dembiński, Chrząszczowa, Josefert, Grabowska, Chodkiewicz, Błażejewski, Fałdziński, Stamara, Mańkowski, Krzyżanowski, Giorczak.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. M. Grabowska w Milówce. Prosimy o nadesłanie 50 hal. na koszta przesyłki.

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Stanisław Lipiński. Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona [illegible]